

Lilian Darcy

Głos serca

Rozdział 1

Rosalie Crane położyła łopatkę i skórzane ogrodnicze rękawiczki na oplecionym porostami kamieniu i wyprostowała plecy. Mogła jeszcze co najmniej godzinę poświęcić pielęgnacji swego ukochanego ogródka – było za wcześnie, by myśleć o lunchu i szykowaniu się do pracy – ale jakoś straciła zapał.

A dzień był nad podziw piękny. Takie poranki zwykle z rozkoszą spędzała pośród zachwycających klombów, skalniaków, poletek ziołowych i warzywnych grządek. Białe obłoki sunęły po błękitnym niebie niczym leniwie pasące się owce, a majowy wietrzyk przynosił kokosowy zapach janowca z pól ciągnących się ku urwistym skałom morskiego wybrzeża.

Rosalie podeszła wolnym krokiem do małego oczka wodnego i przez chwilę obserwowała złote rybki, sennie prześlizgujące się pod okrągłymi liśćmi wodnych lilii, po czym trochę niechętnie wróciła do skalnego ogródka, gdzie właśnie przerwała pracę nad flancowaniem barwnych smagliczek. Jedną partię wysadziła już pośród kamieni i należało oczekiwać, że lada dzień pokryją się purpurowo-białym, wonnym dywanem. Druga skrzynka czekała na swoją kolej.

Nie, na dzisiaj dosyć – postanowiła, nabierając nagle ochoty na samotny spacer po nadmorskich skałach.

Czym prędzej wbiegła do domu, żeby zdjąć pobrudzone ziemią dżinsowe ogrodniczkę; założyła kraciaste spodnie i bawełnianą bluzę, porwała z kredensu jabłko i pospiesznie wyszła, nie zamykając nawet drzwi.

Na skalnym urwisku wiał silny wiatr. Morze mieniło się rozlicznymi odcieniami granatu, który przechodził w zieleń w miejscu, gdzie woda wdzierała się na kamienistą plażę, a potem z nagłą w biel, gdy fale rozbijały się o skały u stóp urwiska. Gęste, długie włosy Rosalie, szarpane wiatrem, rozwiewały się na wszystkie strony. Nie przejmowała się tym zupełnie, choć jeszcze dziś musiała je misternie ułożyć przed podjęciem swych obowiązków pielęgniarki oddziałowej na kardiologii w szpitalu St. Bede, na obrzeżach Plymouth. Teraz o tym nie myślała. Uderzenia morskiego wiatru, przesyconego rześkim zapachem soli i jodu, w dziwny sposób ją odprężyły.

Nie po raz pierwszy tej wiosny jakiś dziwny niepokój wkradł się w jej serce. Nie potrafiła zgłębić istoty problemu. Czyżby chodziło o Howarda Trevalleya? Spotykali się co prawda już od roku, ale dopiero dwa tygodnie temu wysunął propozycję świadczącą, że swe subtelne i niespieszne zaloty traktuje nader poważnie.

– Przyjemnie tu, nieprawdaż? – Siedział odchyłony do tyłu po skończonym

posiłku. Byli u Baldwina, w restauracji, którą zazwyczaj wybierał, i zajmowali jak zwykle ten sam stolik, dyskretnie ukryty w kącie sali. Rosalie nie miała złudzeń, że ów stolik wybierał celowo, by nikt ze szpitala nie zobaczył ich razem.

– Owszem, bardzo przyjemnie – odrzekła.

Howard Trevalley, główny kardiochirurg w szpitalu, był bezsprzecznie mężczyzną inteligentnym, o rozległych życiowych doświadczeniach. Toczyli właśnie jedną z tych interesujących i niezmiennie bezpiecznych rozmów na tematy ogólne. Kolacja, którą spożyli, była jak zwykle znakomita. Baldwin oferował tradycyjne, proste potrawy – takie jak stek czy pieczeń – i starał się nie zaskakiwać swoich gości niczym ekscentrycznym. Rosalie zdążyła już wypróbować wszystkie dania z karty więcej niż raz.

– Zastanawiałem się – powiedział pięćdziesięcioletni wdowiec – czy nie moglibyśmy spędzić razem weekendu? – I pospieszenie zapewnił: – Oczywiście wynajęłbym oddzielne pokoje. Mam lekki sen i... – urwał, czując śliski grunt. – To byłby istotny krok do... do... – ciągnął niepewnie. – No cóż, zastanów się. Nie ma powodu do pośpiechu. Może w sierpniu? Moglibyśmy polecieć do Szkocji... albo do Walii, wynaję tam samochód i trochę pozwiedzać.

– To brzmi cudownie. Zastanowię się. Może do tego czasu będziemy obydwój wiedzeli...

– Właśnie, otóż to! – wpadł jej w słowo, a ona, obserwując jego poważną twarz pokrytą teraz rumieńcem, zastanawiała się, czy czasem nie żałował swej niewczesnej sugestii o oddzielnych pokojach.

Nigdy dotąd nie wystąpił z żadną seksualną propozycją. Jego grzecznościowe pocałunki były pełne czułości i nawet miłe, ale z pewnością czuli by się ze sobą swobodniej, gdyby ich znajomość nabrała bardziej namiętnego charakteru, zwłaszcza tam, w bezpiecznym, obcym otoczeniu.

Czy chcę pojechać z nim do Szkocji? – zastanawiała się Rosalie.

Czuła, że powinna tego chcieć. Byłoby dobrze, gdyby naprawdę chciała. Co prawda pomysł ze Szkocją nie wypadł zbyt fortunnie... Właśnie tam przed dziewiętnastu laty spędziła swój miodowy miesiąc. I to również w sierpniu. Mój Boże, wówczas miała zaledwie osiemnaście lat, a teraz już trzydzieści siedem!

Minęło prawie piętnaście lat od tej koszmarnej, nadspodziewanej dusznej, wrześnie nocy, kiedy Mikę umarł nagle na atak astmy. Gdyby żył, miałby teraz czterdzieści dziewięć lat, a więc prawie tyle samo co Howard. Należeli do tego samego pokolenia – obaj urodzeni w czasie wojny. Ta myśl podnosiła ją na duchu. Jeśli zechciałaby powtórnie wyjść za męż... Cóż, zdawała sobie sprawę, że większość kobiet skwapliwie skorzystałaby z nadarzającej się okazji.

– Howard stanowi doskonałą partię – powiedziała na głos. – Mam dużo szczęścia.

W istocie Howard był bez zarzutu – człowiek zamożny, stateczny i miły. Z pierwszego małżeństwa miał już syna i córkę, a zatem sprawa potomstwa nie stanowiła problemu...

Poczuła w sercu dotkliwy ból. Bardzo pragnęła mieć dzieci i od samego ślubu, nie stosując żadnej antykoncepcji, radośnie wyczekiwała szczęśliwego poczęcia. Bez skutku jednak. Po roku zaniepokojona postanowiła zasięgnąć porady lekarskiej, ale Mikę ją powstrzymał. Odnosił się do lekarzy nieufnie, być może pod wpływem własnych doświadczeń z długoletniej walki z astmą. Pocieszał ją jak umiał, zapewniał, że jest młoda i będą jeszcze mieli dużo dzieci. Bliźniaczki, a potem jeszcze sześcioro – zwykł mawiać.

Rosalie nie знаła się wówczas na medycynie, możliwościach leczenia ani na własnej fizjologii. Czekala więc nadal, nie tracąc nadziei, choć miesiące, a potem lata całe próżnego wyczekiwania nastrajały ją coraz bardziej pesymistycznie. „Niecierpliwość i zbyt duża koncentracja na zajściu w ciążę – mawiał Mikę – często przynoszą odwrotny skutek. Musisz się odprężyć. " Aby go nie martwić, starała się ukrywać lęk i narastającą frustrację, ale nie zawsze potrafiła.

Piętnaście lat temu, pewnego deszczowego lipcowego dnia nie wytrzymała. Doszło do okropnej awantury, a potem do powodzi łez, aż w końcu Mikę wyraził zgodę, by udała się do specjalisty.

Doktor Huxtable okazał się człowiekiem uroczym, ale Rosalie po dziś dzień nie mogła zapomnieć tego przelotnego wyrazu współczucia, jaki pojawił się na jego twarzy, gdy wyznała mu, że usiłuje zajść w ciążę już od czterech lat.

On wie, że sprawa jest beznadziejna – pomyślała wówczas z goryczą. I choć teraz zdawała sobie sprawę, jak wiele w tej materii może zdziałać medycyna, subiektywne wrażenie, jakiemu wtenczas uległa, zapadło tak głęboko w jej psychikę, że od tamtej pory żyła w nieodpartym przeświadczeniu o swojej bezpłodności.

Doktor oczywiście zarządził odpowiednie badania, ale Rosalie na następną wizytę się nie stawiła. Tego dnia odbył się pogrzeb Mike'a.

Rosalie przystanęła w zamyśleniu. Ścieżka przed nią rozwidlała się – jedna nitka prowadziła na spiczasty cypel, druga zaś w dół, na kamienistą plażę. Wybrała drogę na cypel, by jeszcze bodaj przez chwilę popatrzeć na fale, walące z hukiem o skały.

Myśl o śmierci Mike'a nie sprawiała już tak dotkliwego bólu jak niegdyś. Czas zaleczył rany. Żałowała jedynie, że uporczywym pragnieniem posiadania dziecka zmąciła nieco swe małżeńskie szczęście. Za wszystkie sprzeczki i nieporozumienia obwiniała zawsze siebie i swoje uczucia. Och, dlaczego nie zwrócili się wcześniej do lekarza!

Ta myśl prześladowała ją często w pierwszych tygodniach wdowieństwa i zaraz po uporządkowaniu spraw spadkowych podjęła decyzję zostania pielęgniarką, aby w przyszłości pomagać ludziom takim jak ona – ogarniętym strachem, wątpięcym w możliwości medycyny.

Teraz, pogodzona już ze swą bezdzietnością, pracowała z zapałem na oddziale kardiologicznym, bo właśnie kardiologia zafascynowała ją najbardziej i w niej się wyspecjalizowała. Nie wyobrażała już sobie pracy gdzie indziej, choć wcześniej oczywiście praktykowała na różnych oddziałach.

Nie potrafiła sobie również wyobrazić mieszkania gdzie indziej niż w starym – aczkolwiek zmodernizowanym – wiejskim domku, który pozostawił jej Mike, leżącym w niewielkiej odległości od morza, na obrzeżach malutkiej wioski Torbury Bay w hrabstwie Devon. Jakkolwiek czerpała wiele satysfakcji z pracy i lubiła swą codzienność, ostatnio jednak coraz częściej odnosiła wrażenie, że wiedzie życie trochę zbyt monotonne, zbyt wygodne, by nie rzec – nudne. Konkury Howarda Trevalleya mogłyby to życie nieco ubarwić.

Howard... On był przyczyną jej dzisiejszego niepokoju i tego niespodziewanego powrotu wspomnień.

Biegiem zawróciła z urwiska. Zabawiła na spacerze dość długo. Musiało być dobrze po południu, bo chmury na niebie zaczęły już gęstnieć.

Istotnie, zegar kuchenny wskazywał drugą, naprędce więc przełknęła lunch, rezygnując nawet ze zwyczajowej herbatki i przeglądu prasy.

Stojąc przed długim lustrem w sypialni, Rosalie energicznie rozczesła zmierzwione włosy. Czas naglił, więc zwinęła je tylko w prosty węzeł na karku i podpięła spinkami. Na szczęście efekt nie był tak katastrofalny, jak się obawiała. Niesfornie wymykające się kosmyki podkreślały sprężystość naturalnie falujących włosów i otaczały jej twarz połyskliwą, rudawą aureolą.

Rosalie Crane, jak na osobę rudowłosą, miała karnację niezwykłą. Oczy jej nie były ani niebieskie, ani zielone – tylko piwne, brwi ciemne, a bardzo jasna cera, choć podatna na słońce, pozbawiona była piegów. Z taką karnacją mogła z powodzeniem ubierać się na różowo, choć uzyskiwała wówczas efekt cokolwiek śmiały, a może nawet ekstrawagancki.

Mniej szokująco, aczkolwiek nie mniej twarzowo, prezentowała się w ciemnoniebieskim uniformie siostry oddziałowej, który właśnie założyła. Czarny pasek ze srebrną klamrą, cienkie czarne rajstopy i tegoż koloru wygodne pantofle, szybkie pociągnięcie bezbarwną szminką po wydatnych ustach i była gotowa...

W dodatku na czas.

– Siostro, czy pani zdaniem pacjent Giles nadaje się do operacji?

Ton głosu i mina Howarda Trevalleya wyrażały irytację. Rosalie zaczerwieniła się. Nie mogła go winić, że był zły ani oczekiwać pobłażliwości tylko dlatego, iż łączyły ich bliższe stosunki...

W rzeczywistości nie przyjechała na czas. Spóźniła się dobre pięć minut – co zdarzało się niezmiernie rzadko, ale właśnie dziś trafiła na szczególnie nieodpowiedni moment. Wczoraj rozpoczął pracę na oddziale nowy lekarz, Daniel Canaday, a ponieważ był to jej wolny dzień, dziś powinna przyjechać wcześniej, aby Howard mógł ich sobie przedstawić. Zresztą w piątek przypominał jej o tym. Na domiar złego ordynator oddziału kardiologicznego, Max Hillston, zarządził na trzecią zebranie całego personelu.

Czuła się jak spóźniona uczennica, gdy bez tchu wpadła na salę, w której już zgromadzili się wszyscy: doktor Trevalley, Canaday, kilku młodszych kardiologów i chirurgów, kończąca swój dyżur siostra Blair oraz praktykanci. Zanim odzyskała profesjonalne opanowanie i zmusiła się do myślenia o Arthurze Gilesie, którego przypadek już zaczęto omawiać, minęła dobra chwila. Teraz oczekiwano, że zabierze głos w tej dyskusji.

– Cóż, on bardzo liczy na tę operację... – zaczęła po krótkim namyśle i urwała. Z drugiego końca małego, zatłoczonego pokoju czyjeś oczy przypatrywały jej się badawczo. Nieznajoma twarz. Ale z pewnością nie był to student. Wyglądał na zbyt pewnego siebie. Domyśliła się, że te ciemne, natarczywe oczy, które ją rozpraszały, musiały należeć do doktora Canadaya. Dlaczego na nią patrzył? Opamiętała się słysząc, jak Howard Trevalley chrząka znacząco, by ją ponaglić. – Uważam, że podchodzi do operacji ze zbyt dużym entuzjazmem – podjęła i znowu dziwnym trafem napotkała czujny wzrok doktora Canadaya. Miał takie czarne i fascynująco nieprzeniknione oczy. – Uważa, że podwójny bypass całkowicie go wyleczy. Staramy się mu tłumaczyć, że nadal będzie miał chore serce, ale nie przyjmuje tego do wiadomości.

Nastawienie pana Gilesa mogło rzeczywiście rodzić wątpliwości. Operacja polegała na zastąpieniu niedrożnych naczyń tętniczych nowymi, zrobionymi z żył, które pobierano pacjentowi z nóg albo klatki piersiowej. Długotrwały korzystny wynik tej operacji zależał w dużej mierze od zmiany diety i trybu życia pacjenta w okresie późniejszym.

– Pacjent jest wyjątkowo oporny na wszelkie perswazje i nie chce zrozumieć – wtrąciła siostra Blair – że nowe naczynia krwionośne zatkają mu się w takim samym tempie jak stare, jeśli nie zmieni stylu życia.

– Jak rozumiem, cały problem dotyczy ustawienia pacjenta po operacji – powiedział Howard.

– Pozwolę sobie mieć jednak pewne obiekcje...

– zaczął doktor Canaday.

Oho, nowy lekarz zaczyna się stawiać, skonstatowała Rosalie. I znów patrzył na nią tak dziwnie, że się splonęła. Nie potrafiła rozszyfrować wyrazu jego twarzy. O co mu chodziło? Z pewnością w jego spojrzeniu napotkała zaciekawienie, ale było w nim coś jeszcze, czego na razie nie pojmowała. Teraz, gdy zajęty dyskusją ze studentami na odwiecznie nie rozstrzygnięty temat wyższości leczenia zachowawczego nad chirurgią i na odwrót, zdawał się jej nie widzieć, pozwoliła sobie przypatrzeć mu się bezceremonialnie.

Był młodszy, niż się spodziewała – mógł mieć około trzydziestu lat. Słyszała, że ostatnie dwa lata pracował w klinice w Cleveland – jednym z najsłynniejszych i najbardziej prestiżowych ośrodków kardiologicznych w Stanach i na świecie. Aby tam się dostać, nie wystarczyły dobre chęci. Kandydat musiał być wyjątkowo zdolny, ambitny i kompetentny.

Nagle ze ściśniętym sercem zdała sobie sprawę, że był również wyjątkowo przystojny. Już widziała, jak wszystkie młode pielęgniarki po tygodniu będą mdlały na widok jego ciemnych, prawie czarnych włosów i równie czarnych oczu okolonych gęstymi rzęsami. Ależ narobi tu zamętu! Dostrzegła w nim ów dynamizm i siłę – cechy, które przyciągały kobiety w nie mniejszym stopniu niż posągowa uroda. Och, dlaczegoż nie był niezgrabnym, łysiejącym wymoczkim o ziemistej cerze?!

Gdy te lekko irytujące myśli przemykały jej przez głowę, ich oczy spotkały się ponownie i nieoczekiwanie nastąpiła chwila tak niepokojącego zmysłowego napięcia, że Rosalie wstrzymała oddech. Poczowała, jak serce podchodzi jej do gardła. Wbiła wzrok w zielony dywan, aby odzyskać kontrolę nad sobą.

Teraz wiedziała już doskonale, co oznaczały jego przeciągłe, odważne spojrzenia. Podobała mu się i wcale tego nie ukrywał; wręcz pragnął, aby to zauważyła. Szukał w jej oczach odpowiedzi, niemej zachęty i potwierdzenia. I dostał, na litość boską, dostał odpowiedź! Po jego zmysłowo wykrojonych wargach błąkał się teraz łagodny, ledwie dostrzegalny uśmiech dyskretnego triumfu.

To niesłychane! Okropne! – myślała zbulwersowana własną reakcją. Serce jej waliło, miała wilgotne dłonie, a w głowie bezład myśli. Uczyniła ogromny wysiłek, aby skupić ponownie uwagę na toczącej się dyskusji.

Ordynator czekał właśnie na propozycje odnośnie dalszych metod leczenia pacjenta Gilesa.

– Skłaniam się ku angioplastyce – powiedział nagle Canaday.

– No cóż – zastanawiał się Howard. – Byłoby to niewątpliwie zasadne z punktu widzenia medycyny, ale nie rozwiązuje to istoty problemu.

– Być może nie – przyznał Canaday pojednawczo.

– Zyskujemy jednak na czasie. Pacjent jest młody. Ma dopiero trzydzieści siedem lat. Jeśli już wszczepimy mu bypassy, a on nie uczyni nic w kierunku zmiany swojego stylu życia, przeszczepione naczynia zatkają się, nim skończy pięćdziesiątkę. Angioplastyka opóźni konieczność bypassu. W tym czasie lekarze być może przekonają go do zmiany trybu życia, zaprzestania palenia itd.

– W porządku, przekonał mnie pan – uciał dość szorstko Trevalley. – Przypuszczam, że dokona pan zabiegu osobiście?

– Tak. Jutro wykonam serię takich zabiegów.

Angioplastyka polegała na rozszerzeniu zwężonych miażdżycowo tętnic poprzez wprowadzenie do nich cewnika z balonem. Był to stosunkowo prosty zabieg, który wykonywano stosując znieczulenie miejscowe.

– Doskonale, szybciej będziemy mieli wolne łóżko – skomentował Max Hillston.

Tempo konferencji uległo przyśpieszeniu. W niedługim czasie omówiono jeszcze kilka bardziej problematycznych przypadków i wreszcie o wpół do czwartej lekarze rozpoczęli obchód na Oddziale Intensywnej Terapii Kardiologicznej, siostra Blair mogła udać się do domu, Rosalie zaś podjęła obowiązki na swoim oddziale.

Tutaj leżeli pacjenci po operacjach lub w stanach przedzawałowych. Podczas gdy na intensywnej terapii stosunek personelu do pacjentów wynosił jeden do dwóch albo i lepiej, na oddziale Rosalie na dwudziestu siedmiu pacjentów przypadało osiem pielęgniarek i jedna praktykantka. Wszystkie pracujące tu siostry musiały posiadać wysokie kwalifikacje oraz przejść specjalne przeszkolenie. Wykonywały bowiem szereg zabiegów, które na innych oddziałach zarezerwowane były wyłącznie dla lekarzy.

O wpół do siódmej Rosalie w towarzystwie dwóch młodszych pielęgniarek wyrwała się na kolację, pozostawiając oddział w kompetentnych rękach Margaret Binns, sympatycznej dziewczyny, która niebawem wychodziła za mąż i przenosiła się do kliniki kardiologicznej w Bath.

O tej porze stołówka świeciła pustkami. Nie było nikogo ze znajomych. Nie chcąc krępować swą obecnością młodszych sióstr, wiodących zwykle swawolne pogaduszki, Rosalie zajęła stolik w kąci przy oknie.

Siedziała sama, jedząc i czytając powieść, gdy nagle od lektury i ostatniej łyżki zupy oderwał ją czyjś głos.

– Czy mogę się przysiąść? – Z pełną tacą stał przy niej doktor Canaday.

– Oczywiście – powiedziała cicho, a serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Gdyby tylko zauważyła go wcześniej i mogła się choć trochę przygotować! Do licha,

właściwie dlaczego i do czego miała się przygotowywać? Może dziś po południu nazbyt uległa własnej wyobraźni? Doktor Canaday zachowywał się teraz całkiem przyjacielsko i nader stosownie.

– Dzięki za poparcie w sprawie Gilesa – powiedział, siadając na wprost niej.

– Jak się zdaje, doszliśmy do podobnych wniosków.

– Ale to pani przekonała Trevalleya, nie ja – zauważył uprzejmie. – Widać liczy się ze zdaniem swoich pielęgniarek. To miłe.

– Owszem – przyznała tonem obojętnym, jak zwykle, gdy rozmawiała o Howardzie. Choć z pewnością nikt nie podejrzewał ich o zażyłe stosunki, wołała zachować ostrożność.

– Jak smakuje risotto? – zagaił Canaday po chwili milczenia.

– Całkiem niezłe.

– Trzeba przyznać, że wygląda lepiej od moich cynaderek.

– Och, nieśmiertelne cynaderki! – roześmiała się w głos.

– Do znudzenia, czyż nie?

– Owszem, dla takich starych wyjadaczy jak ja.

– Będę wdzięczny za kilka porad, co mam w przyszłości wybierać.

– Sprawa jest doprawdy prosta. Zamawia pan to, czego jest najmniej. Wiadomość o hicie dnia rozchodzi się lotem błyskawicy.

Gdy znowu roześmiał się szczerze ubawiony, doszła do wniosku, że na zebraniu musiała ulec jakimś fantazjom – co było jednak trochę niepokojące, dotąd bowiem jej się to nie zdarzało, szczególnie wobec młodszych mężczyzn.

Podczas wspólnego posiłku odprężyła się całkowicie i zdumiewająco szybko nabrała przekonania, że lubi nowego kardiologa. Praktyka w Cleveland nie przewróciła mu w głowie. Kilka lat temu miała sposobność pracować z pewnym lekarzem, który właśnie wrócił z tej przesławnej kliniki. Co drugie zdanie zaczynał: „U nas w Cleveland...”, aż miało się ochotę wyć. Daniel Canaday był zupełnie inny.

– Co pan o tej porze robi jeszcze w szpitalu? – spytała.

– Dopiero zaczynam, muszę więc wszystkiemu przyjrzeć się dokładnie i dlatego powinienem zostać dłużej. Właśnie chciałem panią spytać o zdanie na temat opracowywanego projektu kampanii dotyczącej zapobieganiu schorzeniom serca.

Pytanie trochę ją zaskoczyło. Pomysł przeprowadzenia takiej kampanii w społeczeństwie pojawił się kilka miesięcy temu, ale żadne konkretne ustalenia jeszcze nie zapadły i Rosalie osobiście uważała, że cała sprawa, wokół której robiono tyle

szumu, skończy się na dobrych chęciach. Niby wszyscy entuzjastowali się pomysłem wskazując, że podobne kampanie przeprowadzone w innych miejscowościach odniosły sukces, ale właściwie nikt nie kwapił się wziąć na swe barki ciężaru jej organizacji, zwłaszcza że ewentualne fundusze na realizację projektu były znikome. Czas i energię wszystkich, nie wspominając o pieniądzach, pochłaniały przeprowadzane od niedawna transplantacje. Jakkolwiek było to konieczne i zrozumiałe, nie małą rolę odgrywał tu fakt, z którego Rosalie cynicznie zdawała sobie sprawę: transplantacje przysparzały szpitalowi o wiele więcej prestiżu i rozgłosu niż program edukacji społeczeństwa. Nie chcąc jednak dzielić się swym sceptycznym punktem widzenia z kimś, kogo ledwie poznała, odparła z układowym uśmiechem:

– Nie potrafię panu powiedzieć. Oczywiście to wspaniały pomysł, ale...

– Och tak, wspaniały pomysł – powtórzył, lekko ją przedrzeźniając. – Każdy z tym się zgadza, nieprawdaż? Doktor A na przykład od razu wprowadziłby ideę w czyn, gdyby akurat nie rywalizował o stanowisko z doktorem B; doktor C natomiast nie ustawałby w wysiłkach, jeśli mu zagwarantowano awans do Londynu, doktor D zaś z wielką ochotą zgłębiłby sprawę, ale właśnie z większym zaangażowaniem bada przyczyny własnego łysienia...

Rosalie walczyła, by nie wybuchnąć śmiechem, ale jej się nie udało. Uśmiech zaś, który pojawił się w kącikach jego ust, świadczył, że ucieszyła go jej spontaniczna reakcja.

– Mój Boże! – wykrzyknęła po chwili. – Skąd zaledwie po dwóch dniach wszystko pan o nas wie?

Oczywiście ogromnie przesadzał, ale nasuwający się wniosek trafiał w sedno. Właśnie personalne konflikty w szpitalu uniemożliwiały wprowadzenie programu w życie.

– Muszę się ze wszystkim dokładnie zapoznać – brzmiała jego odpowiedź. – Może zechce mi pani opowiedzieć, jak układają się wasze stosunki z innymi oddziałami? Czy są jakieś problemy?

– Hola, hola! – zaprotestowała.

– Ależ nie proszę panią o powtarzanie plotek, jedynie o kilka cennych pomysłów, które usprawniłyby pracę. Ostatnie dwa lata pracowałem przecież w innym systemie...

Zapał w jego głosie podziałał na nią budująco. Rzeczywiście istniały problemy, którymi powinna się z nim podzielić. Zaczęła mówić, a on słuchał z prawdziwym zainteresowaniem. A kiedy zapadła cisza, poczuła się już na tyle swobodnie, że spytała bez ogródek:

– Widzę, że wybrał pan odpowiedni dla siebie zawód, prawda?

Roześmiał się rozbrojony jej szczerością. Podniósł filiżankę z kawą do ust i lekko pochylił się do przodu.

– Ma pani rację, chociaż niewiele brakowało, bym wybrał zupełnie co innego.

– Niemożliwe! – Nie całkiem zdając sobie sprawę, pochyliła się również do przodu i przy małym stoliku w jasno oświetlonej jadalni wytworzyła się dziwnie intymna atmosfera. – Chyba nie zamierzał pan zostać hydraulikiem?!

– No, niezupełnie. Po prostu raptem rzuciłem na krótki czas medycynę. Mój ojciec był ortopedą i zachęcał mnie do pójścia w swoje ślady. Gdy byłem na pierwszym roku studiów, dostał nagle rozległego zawału i zmarł w kilka dni później.

Rosalie zastygła w milczeniu. Wyczuła, że nie oczekiwał słów współczucia. Słuchała dalszego ciągu opowieści z łokciem wspartym na stole i oczami utkwionymi w młodego lekarza.

– Był to dla mnie prawdziwy cios – ciągnął doktor Canaday. – Pod wpływem impulsu rzuciłem studia. Wydawało mi się wprost nieprawdopodobne, że mój ojciec, specjalista z Harley Street, umiera nagle w wieku czterdziestu dziewięciu lat. – Spojrzał na nią ze smutnym uśmiechem. – Zapewne pani mnie nie rozumie...

– Och, rozumiem pana doskonale – powiedziała cichym głosem.

– Całe lato zmagalem się ze sobą i w końcu zdecydowałem, że będę nadal studiował medycynę. Zrezygnowałem jednak z ortopedii. Ta specjalizacja wydała mi się mało ważna. Zająłem się kardiologią, by w przyszłości pomagać ludziom chorym na serce...

– A jak sobie daje radę pańska matka? – spytała.

Przez chwilę w milczeniu patrzył na swoje ręce, a potem spojrzał Rosalie prosto w oczy i odrzekł:

– Z początku była kompletnie załamana. Teraz radzi sobie całkiem dobrze. W końcu od śmierci ojca minęło już prawie dwanaście lat. Prowadzi pracownię projektowania wnętrz. Właśnie teraz razem z moją siostrą są w Paryżu. Otwierają tam filię pracowni, którą poprowadzi Amanda. – I dodał z wyraźną dumą: – Moja siostra ma wyjątkowy talent, wspaniałą wyobraźnię plastyczną i ogromną wrażliwość na piękno.

– To brzmi interesująco – wtrąciła Rosalie. – A zatem obydwójce poszliście w ślady swoich rodziców?

– Chyba tak – odparł z uśmiechem.

Rosalie odczuła niezwykłą potrzebę uzupełnienia jego osobistych zwierzeń

własną historią. Powiedziała nagle:

– To dziwne... W moim przypadku również osobista strata pchnęła mnie ku medycynie.

– Życie osobiste często wywiera ogromny wpływ na bieg innych spraw, na nasze wybory.

– Tak, ma pan rację. O Boże, a któraż to godzina? – Niespokojnie zerknęła na zegarek i szybko wstała.

Daniel Canaday był wyraźnie rozczarowany, że nie usłyszy osobistej historii siostry Rosalie Crane. Nie nalegał jednak, grzecznie wstał również i powiedział:

– Dziękuję za miłe towarzystwo.

Rosalie uprzejmie skinęła głową i wzięwszy tacę z pustymi naczyniami, oddaliła się szybko w stronę bufetu.

Daniel usiadł ponownie, by dokończyć kawę. Może i lepiej się stało, że siostra Crane nie miała czasu, by opowiedzieć mu swoją historię. Mogłaby później żałować osobistych zwierzeń przed prawie obcym człowiekiem. To jednak dziwne, że obydwójce tak szybko wyszli poza banalną konwersację.

Musiał przyznać, że spotkanie w jadalni nie było kwestią przypadku. Poszukiwał siostry Crane. Od pierwszego spojrzenia podziałała mu na zmysły. Znał siebie zbyt dobrze – działał zwykle szybko i zdecydowanie, a w swych poczynaniach kierował się niezmiennie od lat intuicją. Intuicja jak dotąd go nie zawiodła i nie sądził, by miała go zawieść w tym przypadku. Równie silnie zareagował dwa lata temu na doktor Sharon Jantz. Było to zaraz po jego przyjeździe do Cleveland. Ani Sharon, która właśnie odzyskiwała równowagę po długim, bolesnym rozwodzie, ani on sam nie chcieli się poważnie angażować. Przeżyli jednak bardzo satysfakcjonujący romans. Teraz czuł instynktownie, że z Rosalie Crane sprawa przedstawiała się o wiele poważniej.

Nagle przyszło mu do głowy, że przecież Rosalie – kobieta fascynująca ciepłem i dojrzałą urodą – mogła być już z kimś związana. Co prawda nie nosiła obrączki, ale to niczego nie przesądzało.

Daniel skończył kawę, wyprostował mocne ramiona i wstał. Musiał jak najszybciej wszystkiego się dowiedzieć. Nie lubił sytuacji niejasnych i niepewności. Cenił sobie szczerłość i bezpośredniość. Miał głęboką nadzieję, że Rosalie Crane odczuwa podobnie.

Rosalie w drodze na oddział również myślała o nowym lekarzu. Doszła do wniosku, że był miły, inteligentny, życzliwy i koleżeński. Podczas popołudniowej narady musiała ulec dziwnemu złudzeniu. Przyglądał jej się po prostu jak koleżance,

z którą przyjdzie mu współpracować i to wszystko. Ostatecznie miała już trzydzieści siedem lat i była kobietą w średnim wieku. On zaś, jak wywnioskowała, miał trzydzieści dwa, a więc wkraczał w swój najbardziej twórczy zawodowo okres.

Zapewne złamie serce jednej z tych smukłych blondynek, którymi kierowała. Jeśli z powodu jego przybycia powstanie na oddziale romantyczna atmosfera, z całą pewnością nie będzie dotyczyła Rosalie. To był wprost niestworzony pomysł! Tym niemniej na stopie profesjonalnej Daniel Canaday będzie niewątpliwie wymagającym i stymulującym kolegą.

Rosalie, zadowolona wielce ze swoich rzeczowych konstatacji, wjechała na siódme piętro, ale gdy weszła na korytarz, poczuła nagle przyływ romantycznych uczuć i skierowała kroki do gabinetu Howarda Trevalleya.

– Czekałem na ciebie – powitał ją lekko poirytowanym tonem.

Zerknęła na zegarek. Istotnie było dość późno. Przynęła siostrze Binns, że wróci pół godziny temu.

– Przepraszam – powiedziała skruszona.

Howard był wysokim, przystojnym mężczyzną, który zaczynał się lekko garbić. Miał gęste, przyprószone siwizną włosy, niebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu i wydatny orli nos. Dwa lata temu zmarła mu żona i od tamtej pory, jakkolwiek początkowy ból i rozpacz minęły, trudno mu przychodziło pogodzić się ze światem – często zrzędził i łatwo popadał w irytację. Rosalie, która starała się wczuć w jego sytuację, okazywała mu wiele wyrozumiałości.

– Czy masz do mnie jakąś pilną sprawę? – spytała, kładąc łagodnie dłoń na jego ramieniu.

– Owszem. Chciałem się upewnić, czy nasze spotkanie w piątek jest aktualne. W tym tygodniu nawet nie mieliśmy szansy porozmawiać.

– Oczywiście – uspokoiła go. – Zawsze spotykamy się w piątek i doskonale wiesz, że jeśli nie mam dyżuru, jestem zwykle wolna.

– No, tak. Przepraszam. Wpadnę więc po ciebie i pojedziemy do Baldwina, zgoda?

– Doskonale.

Najpierw wystawił głowę na korytarz, aby upewnić się, czy ktoś nie nadchodzi, a potem szybko pochylił się i pocałował Rosalie w usta. Przelotne i delikatne dotknięcie jego warg poruszyło ją, ale nie podnieciło. Zresztą nie spodziewała się niczego innego. Pieszczoty Mike'a przyjmowała również dość chłodno. Jej małżeńskie życie utwierdziło ją tylko w przekonaniu, że do osiągnięcia satysfakcjonującego związku namiętność zgoła nie była potrzebna.

Już miała odsunąć od niego twarz, gdy nieoczekiwanie zapragnęła więcej. Ku jego ogromnemu zaskoczeniu położyła smukłe palce na jego ramionach i pocałowała go tak namiętnie, jak nigdy dotąd. Oszołomiony odwzajemnił pocałunek, a potem ukrył twarz w jej puszystych włosach. W chwilę później usłyszeń' stłumiony zgrzyt. Po drugiej stronie korytarza otworzyły się drzwi windy i ukazał się w nich doktor Daniel Canaday.

Sposób, w jaki odskoczyli od siebie i wpatrywali się z poczuciem winy w podłogę oraz niezbyt grzeczne powitanie Howarda prawdopodobnie świadczyły dobitniej o tym, że mieli romans, niż gdyby pozostali przytuleni. Wprost nieprawdopodobne, ale niestety prawdziwe – oto dynamiczny, nowy kardiolog w ciągu zaledwie jednego dnia poznał sekret, który z powodzeniem ukrywali przed całym szpitalem blisko rok.

– Dobry wieczór, doktorze – odezwał się z chłodną galanterią Daniel Canaday. – Zostawiłem tu gdzieś przez nieuwagę notatki, siostró Crane. Czy pani ich przypadkiem nie widziała?

– Owszem... Widziałam czarny notes.

– No cóż, muszę już uciekać – wtrącił niezręcznie Howard. – Siostró Crane, dziękuję pani za pomoc.

Nie musiał kończyć. I tak nie oszukałby doktora Canadaya. Zakłopotany odszedł w kierunku ciągle otwartych drzwi windy, które niebawem się za nim zamknęły.

W oczach Daniela utkwionych w Rosalie malowało się niedowierzanie, rozczarowanie i... bardzo wyraźne pożądanie.

– Czy jest pani poważnie z nim związana? – spytał bezceremonialnie.

Pytanie jej nie zaskoczyło. O wiele bardziej zaskakująco brzmiała jej własna odpowiedź:

– Niezupełnie... Nie na poważnie. – Stali teraz bardzo blisko siebie. Policzki jej płonęły i zdawała sobie sprawę, że musiał słyszeć jej przyśpieszony oddech. – Nie jesteśmy w żaden sposób ze sobą związani – dodała.

– To doskonale się składa, ponieważ to ja chciałbym się z panią związać – rzekł Daniel Canaday.

Rozdział 2

– Pański czarny notes leży na moim biurku – powiedziała niepewnie Rosalie. – Muszę wracać do pracy.

– Oczywiście – odparł Canadaya rzeczowym tonem. – Poszukam go.

Nie mogła go za nic winić, ponieważ sama wyraźnie okazała mu swe zainteresowanie. Była jednak rozstrojona tym, co się wydarzyło. Dopiero gdy wziął notes i wyszedł z oddziału, zebrała myśli i skupiła się na pracy. Reszta dyżuru minęła jak sen. Miała szczęście, że nie było żadnych problemów z pacjentami.

W drodze powrotnej prowadziła samochód całkowicie automatycznie, zajęta myślami o Danielu Canadaya. Na szczęście droga do jej małego domku w wiosce Torbury o jedenastej wieczorem była pusta.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak bardzo zaniepokoił ją ten mężczyzna. Przecież nie po raz pierwszy ktoś okazał jej swoje zainteresowanie. Czyżby doktor Canadaya miał stanąć na drodze jej związku z Howardem?

Ależ skądże! Przecież tak naprawdę wcale nie była związana z Howardem. To, co powiedziała nowemu kardiologowi – jakkolwiek z pewnością nie wypadało jej tego powiedzieć – było prawdą. Skoro Howard nigdy nie ośmielił się jasno wyrazić swych intencji, mogła czuć się wolna.

A jeśli doktor Canadaya zaproponuje jej spotkanie? Bardzo prawdopodobne, że się z nim umówi. Zachował się co prawda trochę obcesowo, ale wcale nie miała mu tego za złe. Z pewnością nie należał do mężczyzn narzucających się kobietom. Nawet nie przyszło jej do głowy posądzać go o arogancję. Po prostu był pewien, że ona właściwie go rozumie.

Och, Boże! Tak jednoznacznie dała mu do zrozumienia, że jej się spodobał. To musiało wypaść niezbyt elegancko! Nie, nie umówi się z nim. Co za nedorzeczny pomysł! Czy przystojny mężczyzna koło trzydziestki może pragnąć o pięć lat starszej kobiety? Była szalona, zupełnie szalona. Nie powinna o nim w ogóle myśleć. I w żadnym wypadku nie powinna porównywać go z Howardem!

Odpędziła od siebie natrętne myśli i wprowadziła samochód do garażu. Potem jeszcze nakarmiła kota, wypiła herbatę i wreszcie poszła do łóżka.

– Karetka będzie tu za chwilę – powiedziała Rosalie do doktora Canadaya następnego poranka. Rozmawiała już z nim przez telefon, ale dopiero teraz pojawił się na oddziale. Widzieli się po raz pierwszy od wczorajszego zenującego epizodu

przy windzie.

– Czy pokój dla małej jest gotowy? – spytał.

– Oczywiście.

Byli zbyt zajęci tym, co się działo w szpitalu, by zajmować się osobistymi sprawami. Niecierpliwie oczekiwali ambulansu.

– Mam nadzieję, że podróż zbyt jej nie zmęczy. Teraz naprawdę walczymy z czasem. Doktor Bartlett z Londynu bardzo niechętnie przystał na zmianę szpitala.

– Wiem – przyznała Rosalie.

– Może mieć rację. Czas nas goni.

Pacjentką, o której rozmawiano, była dwunastoletnia Jackie Billings. Od pewnego czasu przebywała w jednym z londyńskich szpitali, oczekując na transplantację. Ostatnio stan jej serca gwałtownie się pogorszył. W tym przełomowym momencie jej matka wyszła ponownie za mąż i przeniosła się do Plymouth.

– Nie twierdzę, że pani Billings... a właściwie pani Rogerson nie powinna wychodzić za mąż – zamyślił się Daniel. – Matki chorych na serce również mają prawo do życia, ale...

– Podjęła trudną decyzję – wtrąciła Rosalie.

– Oczywiście Bartlett zbyt nam nie ufa – Canaday zmienił temat. – Dopiero od niedawna przeprowadzamy transplantacje.

– Ależ w tym roku doskonale nam poszło – zaprotestowała Rosalie, broniąc osiągnięć własnego szpitala. – Nasi specjaliści nie są nowicjuszami. Doktor Myers pracował trzy lata w Stanach pod okiem samego Normana Shumwaya, nie mówiąc już o pańskim doświadczeniu zdobytym w Cleveland. Poza tym szanse na znalezienie odpowiedniego dawcy są takie same tu, jak w Londynie... – urwała, w tej samej bowiem chwili wreszcie otworzyły się drzwi i wniesiono na noszach nową pacjentkę.

– Czy mama już jest? – brzmiało jej pierwsze pytanie, gdy transportowano ją do specjalnie przygotowanej separatu.

– Nie, jeszcze jej nie ma – odparła Rosalie i wstrzymała oddech. Obawiała się, że dziewczynka może się rozplakać.

Jackie jednak tego nie zrobiła.

– Przypuszczam, że to z powodu bliźniaków – stwierdziła rzeczowym tonem.

– Bliźniaków? – zdziwił się Daniel.

– Moich przyrodnych braci – wyjaśniła Jackie.

– Mają po cztery lata i dziś mama po raz pierwszy odprowadza ich do

przedszkola. Uprzedziła mnie, że może się spóźnić. Ona bardzo stara się być dla nich dobrą macochą. – Na jej małej, figlarnej buzi pojawił się wyraz dojrzałej mądrości.

– Nie mów za wiele, kochanie – wtrąciła Rosalie w obawie, by dziecko nie zmęczyło się zanedo. – Jak tylko mama przyjedzie, wszystko nam wyjaśni.

– Wątpię, czy będzie potrafiła wyjaśnić, dlaczego niepewnie czuje się w roli macochy – zauważyła rezolutnie Jackie.

– Wszystko w porządku? – spytał Daniel, gdy kilka minut później Jackie leżała już w swym nowym łóżku.

– Tutaj nie ma okna – powiedziała z żalem.

– Przecież jest. O, tam!

– To nie jest okno – oznajmiła, patrząc z pogardą na wąską szybę, przez którą widać było tylko szarą, ceglana ścianę. – Stąd nie ma widoku. Zupełnie nie widzę, gdzie jestem.

– Masz rację – zgodził się kardiolog. Rzeczywiste okno znajdowało się za lewym ramieniem dziewczynki. Aby je dojrzeć z łóżka, musiałaby wykonać niemożliwy dla siebie skręt ciała.

Po chwili niezobowiązującej rozmowy doktor Canaday przystąpił do pracy. Przejrzał ogromny plik notatek i wyników badań, a potem zaczął zadawać Jackie pytania. Rosalie słuchała pilnie, aby jak najwięcej dowiedzieć się o nowej pacjentce.

– Mój Boże, co za dziecko! – westchnął Daniel, gdy wraz z Rosalie opuścili separatkę.

– Tak... – zamyśliła się Rosalie. – Ma bardzo chore serce, ale jej mózg pracuje bez zarzutu.

– Ona walczy jak lew. Podchodzi do swej choroby z większą dojrzałością niż wielu dorosłych. Jesteśmy jej bardzo dużo winni, siostró Crane.

– Jesteśmy jej winni nowe serce.

– Jeśli tylko uda się je zdobyć...

Canaday oddalił się na obchód, zapominając nawet pożegnać się z Rosalie. Ta zaś w ogóle tego nie zauważyła, tak bardzo była zaabsorbowana myślami o Jackie. Chciałaby posiedzieć z dziewczynką aż do przyjazdu matki, ale wzywały ją inne obowiązki. Jackie została podłączona do elektrokardiografu, znajdującego się przy łóżku, i rytm jej serca był stale widoczny na monitorze w centrali ekg. W razie pojawienia się niebezpiecznej arytmii rozległby się sygnał alarmowy. Mimo to Rosalie co chwila zerkała niespokojnie na ekran.

Minęło dobre pół godziny, nim pojawiła się pani Rogerson. Na wstępie rozplakała

się.

– Jackie złości się, gdy płacze – powiedziała. – Czy mogę umyć twarz?

– Oczywiście.

– Jak ona się czuje? Bardzo zmęczona?

– To naturalne po podróży – uspokoiła ją Rosalie. Nie bardzo wiedziała, jak ma ustosunkować się do tej kobiety. Czy rzeczywiście dobro dziecka było dla niej najważniejsze?

– Doszliśmy do wniosku – tłumaczyła się pani Rogerson – że Jackie powinna przebywać tu razem z nami, w Plymouth. Jeśli nie zdobędzie się nowego serca na czas... Jackie sama chciała, żeby wszystkie sprawy zostały załatwione, chciała być blisko nas. Wiem, że doktor Bartlett był temu przeciwny, mam jednak nadzieję, że się mylił.

Rosalie ze współczuciem przytaknęła. Zrozumiała punkt widzenia pani Rogerson. Jackie świadoma, że może przegrać batalię o życie, chciała mieć przynajmniej pewność, że pozostawia matkę w bezpiecznej, ustabilizowanej rodzinie. „Jeśli nie zdobędzie się nowego serca... ” – powiedziała pani Rogerson. To zawsze stanowiło problem. Aby Jackie Billings mogła żyć, ktoś inny musiał umrzeć w odpowiednim czasie. Rosalie wiedziała, że pacjentom czekającym na transplantację oraz ich rodzinom często doskwierało podświadome poczucie winy. Czekać na serce to jest tak, jakby życzyć komuś innemu śmierci – mawiano. Wówczas tłumaczyła: „Nie życzyście nikomu śmierci. Ci ludzie umarliby, nawet gdyby nie istniało słowo »transplantacja«. Pragniecie jedynie, by mieli podpisaną kartę dawcy. To wszystko”.

Pani Rogerson poszła do łazienki umyć zaczerwienione oczy. Kiedy wróciła po kilku minutach, jej twarz promieniowała sztuczną wesołością. Rosalie zaprowadziła ją prosto do córki. Nareszcie spokojna, że Jackie ma towarzystwo, mogła zająć się jak należy innymi pacjentami.

Daniel Canaday pojawił się dopiero po lunchu. Właśnie wychodziła od pacjenta, u którego po transplantacji nastąpiła ciężka niewydolność serca. Teraz już Richard Perry czuł się dobrze i wkrótce miał zostać wypisany ze szpitala.

– Jak z nim? – spytał Daniel.

– Zdrowszy z każdą chwilą – odpowiedziała zdawkowo, chcąc pokryć nagłe zmieszanie i niepokój, które ogarnęły ją na widok młodego lekarza. Zdawała sobie sprawę, że jedynie troska o Jackie Billings na krótko stłumiła jej zainteresowanie tym mężczyzną. A jeśli błysk w jego ciemnych oczach mógł stanowić jakąś wskazówkę – on również musiał odczuwać to samo. Do licha, chyba nie mówił poważnie o ich ewentualnym związku? Musiał żartować. Żartował, bo widział ją akurat z Howardem. Dość! Wszystko, co do niego czuła, było śmieszne, niestosowne, po

prostu okropne!

– Co pan tam niesie? – spytała z pozorną wesołością. – Jakieś nowe urządzenie prosto z Ameryki?

– Nie – uśmiechnął się szeroko, jakby z ulgą witając możliwość rozmowy na bezpieczny temat.

Stali bardzo blisko siebie. Tak blisko, że czuła ciepło jego ciała, a spojrzenie czarnych oczu zdawało się przenikać ją na wskroś. Zrobiła krok do tyłu, by odzyskać panowanie nad sobą.

– To są okna – powiedział, a ponieważ nie zrozumiała, dodał z uśmiechem: – Dla Jackie. Chyba oszalałem, ale całą przerwę na lunch spędziłem w księgarni. Proszę spojrzeć. – Wyjął z kartonowej tuby rolkę błyszczącego papieru i zaczął ją rozwijać. – Obrazy przedstawiające okna. To na przykład jest Vermeer... a to coś nowoczesnego. Mam nadzieję, że Jackie je doceni. Właściwie zupełnie nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

– Och, po prostu niepokoi się pan o nią i musiał pan coś zrobić, aby zagłuszyć swój niepokój.

– Sądzi pani, że jej się spodobają?

– Na pewno.

– Doskonale. Idę je zatem zawiesić. – Dotknął delikatnie jej ramienia i pomaszerował w stronę pokoju Jackie.

Rosalie, wracając do dyżurki pielęgniarek, pomyślała, że było coś niezwykle ujmującego w jego spontanicznej reakcji. A kiedy kilka minut później zajrzała do pokoju dziewczynki, zobaczyła wzruszającą scenę.

– Nie, po głębszym namyśle sędzę, że ten powinien wisieć na wprost łóżka – dyrygowała Jackie. – Tamten natomiast z boku. Plakat z reprodukcją Vermeera podoba mi się najbardziej i to ja muszę go dobrze widzieć, a nie goście. Oni będą patrzeć na mnie!

– Tak może być? – dopytywał się Daniel.

Rosalie wycofała się. Pani Rogerson wyglądała na zrelaksowaną, Daniel Canaday dobrze się bawił i, co najważniejsze, Jackie była zachwycona plakatami.

Oby tylko znalazło się dla niej serce – pomyślała Rosalie.

– Obawiam się, że musimy zrezygnować z naszego wieczornego spotkania – powiedział Howard Trelvalley do Rosalie w piątkowy poranek dziesięć dni później. – Pochylił się konfidencjonalnie nad jej biurkiem. – Przepraszam, że zawiadamiam cię

tak późno. Dochodziło właśnie wpół do siódmej i doktor Trevalley za chwilę miał stanąć przy stole operacyjnym.

– Szkoda – odrzekła, choć wcale nie była pewna, czy naprawdę żałuje.

– Cóż, nic nie mogę poradzić. Moja córka postanowiła, że wyjedziemy dziś wieczorem. Jeśli wyruszylibyśmy jutro, straciłaby połowę jakichś zawodów hippicznych, które pragnie obejrzeć.

– Rozumiem, Howardzie. Wszystko w porządku.

Rosalie wiedziała, że Howard wraz z córką wybierał się na weekend do swojej siostry koło Exeter i była nawet zaskoczona, iż mimo wszystko chciał spędzić z nią piątkowy wieczór. Teraz sprawiał wrażenie bardziej zirytowanego zmianą planów niż ona sama.

– Myślałem, że Cathy w końcu przejdzie ten bzik na punkcie koni – ciągnął wielce niezadowolonym tonem. – Ostatecznie ma już dwadzieścia sześć lat i jest lekarzem. Powinna zabrać się wreszcie za specjalizację, a nie rozglądać się za pracą lekarza ogólnego. Nie można czegoś osiągnąć w żadnej dziedzinie – a już szczególnie w chirurgii – jeśli człowiek się stale rozprasza. Tu nie ma miejsca na żadne hobby... jakieś tam jazdy konne czy inne fanaberie!

Rosalie nigdy nie poznała Cathy. Howard trzymał swój związek z siostrą oddziałową w sekrecie również przed własną rodziną. Często jednak słyszała, niezmiennie utrzymane w podobnym stylu, narzekania Howarda na córkę i czytając między wierszami, odnosiła wrażenie, że Cathy Trevalley była rozsądną, inteligentną dziewczyną, która lubiła swój zawód, ale nie miała wystarczających ambicji, by zadowolić swego wymagającego ojca.

– Może będzie lepszym specjalistą, jeśli najpierw zdobędzie doświadczenie w medycynie ogólnej – ośmieliła się wtrącić Rosalie.

– Być może. – Howard wzruszył ramionami.

– W każdym razie mamy zepsuty piątkowy wieczór.

– Daj spokój, doskonale rozumiem sytuację – zapewniła go raz jeszcze Rosalie.

Kiedy Howard majestatycznym krokiem pomaszerował w stronę windy, Rosalie mogła wrócić do swoich pacjentów. Kilka spraw wymagało jej uwagi. Opuchlizna na nodze pani Bunney, skąd pobrano żyłę, by utworzyć z niej bypass, nie ustępowała tak szybko, jak powinna. Z kolei pan Slade, którego trzy dni temu przeniesiono z intensywnej terapii, gdzie leżał po wszczępieniu mu poczwórnego bypassu, nadal był półprzytomny. Rosalie zaczynała podejrzewać, że wywiązały się jakieś komplikacje, których przyczyny nie zdołano właściwie zdiagnozować.

Pan Gupta natomiast miał ustawiczne kłopoty z odkrztuszaniem. Skądinąd był to

niekłopotliwy pacjent, cichy i nie skarżący się na nic, ale słabo władał angielskim i Rosalie nigdy nie była pewna, czy w ogóle rozumie, co się do niego mówi. Podobnie jak inni pacjenci, którym zrobiono operację na otwartym sercu, był przerażony, że podczas kaszlu popękają mu szwy na klatce piersiowej.

– Proszę odkaszlnąć, panie Gupta – ponowiła prośbę Rosalie, jednak uparty pan Gupta energicznie potrząsał głową i rozpościerał ramiona jak mim, odciągający poły wyimaginowanej marynarki. – Ależ pański mostek jest w najlepszym porządku – tłumaczyła. – Założyliśmy druty. Stalowe druty. Stal... jak to. – Uderzyła dłonią w metalową ramę łóżka. – Dziesięć stalowych drutów. Doprawdy nie ma możliwości, aby się rozeszły.

Pan Gupta wreszcie zrozumiał w czym rzecz i usiłował zakaszleć, wykrzywiając przy tym z bólu twarz.

– Wiem, że to boli – przyznała Rosalie. Proszę znów spróbować, a potem trochę odpocząć. Rozmasuję panu plecy.

Chwilę później na salę wpadła praktykantka, Elise Jones, i w podnieceniu zawołała:

– Przyjęto pacjenta, siostró. Nagły przypadek. Z izby przyjęć. Doktor Canaday prosi, aby się pani nim zajęła. To znaczy – poprawiła się – prosi, aby pani zajęła się pacjentem. On sam będzie tu za moment.

Wracając do dyżurki, Rosalie robiła w pamięci przegląd wolnych łóżek. Nic jeszcze nie wiedziała o pacjencie, nie mogła więc zdecydować, gdzie go położyć.

Okazało się niebawem, że pan Legge, którego właśnie przywieziono, doznał, jak to ostrożnie określono, lekkiego ataku serca.

– Łóżko siedemnaste – zarządziła szybko Rosalie. Spodziewała się, że panu Legge dobrze zrobi towarzystwo dwóch pełnych optymizmu pacjentów, którzy niedługo szykowali się do opuszczenia szpitala oraz starszego mężczyzny, czekającego na prześwietlenie tętnic wieńcowych, zwane inaczej koronarografią. Było to badanie, któremu w ciągu najbliższych dni zostanie prawdopodobnie poddany również pan Legge.

Rosalie na razie wysłała do chorego siostrę Margaret Binns, aby dokonała rutynowych badań i przeprowadziła wywiad medyczny, sama zaś nerwowo wyczekiwała pojawienia się Daniela Canadaya.

Kiedy wreszcie nadszedł, sprawiał wrażenie bardzo zaabsorbowanego. Powitał ją zdawkowo, spytał o numer łóżka nowego pacjenta i zniknął w jego pokoju. Rosalie wróciła do pracy zastanawiając się, jak długo jeszcze ta zwariowana sytuacja może trwać.

Stale krążyła myślami wokół Daniela Canadaya. Zmysłowo odczuwała jego obecność obok siebie, a on zdawał się reagować podobnie. Gdy przypadkowo dotykał jej ręki, czasami podejrzewała, że robił to celowo. Nieustannie wodził za nią wzrokiem, ona sama zaś również nie mogła oderwać od niego oczu. Zastanawiała się, czy ktoś zdążył już zauważyć tę ich osobliwą wymianę spojrzeń.

Niepokój, jaki odczuwała w ubiegłym tygodniu, zdawał się niczym wobec tego, który opadał ją teraz. Aby się uspokoić, niemal co dzień spacerowała nad urwiskiem...

Kiedy Daniel, wracając od pana Legge, wstąpił do pokoju pielęgniarek, pojęła natychmiast, że nie szukał jej, by porozmawiać o nowym pacjencie.

– Słyszałem, że pani adorator porzucił panią na dzisiejszy wieczór – powiedział ściszym głosem.

– Ależ...

– Och, nie ma obawy! Wiem, że to sekret, będę więc milczał jak zakłęty.

– Jeśli pan chce...

– Chcę umówić się z panią na dziś wieczór.

– Och, nie mogę. Przykro mi.

– Zrozumiałem, że Trelvalley nie ma wyłączności na pani wolny czas.

– Owszem, ale...

– A wiec nie?

– Nie. – Popatrzyła na niego, a policzki jej pokrył rumieniec, żywo kontrastujący z jasną cerą i płomiennymi włosami. Na dłuższą chwilę skrzyżowali spojrzenia. Powinna się już do tego przyzwyczaić, a jednak za każdym razem, gdy tak na siebie patrzyli, serce waliło jej jak młotem. Oczekiwała sprzeciwu, ale on rzucił zdawkowo:

– W takim razie pójdę już. Mam jeszcze sporo pracy w pokoju zabiegowym.

Kiedy wyszedł, przez chwilę nie potrafiła zrozumieć, dlaczego właściwie mu odmówiła. Czyżby obawiała się własnych reakcji oraz władczego sposobu, w jaki wyrażał swoje zainteresowanie nią?

Wypełnione pracą godziny, które nastąpiły później, przyjęła z uczuciem ulgi. Wyszła ze szpitala dokładnie o trzeciej i po zrobieniu zakupów przybyła do domu z mocnym postanowieniem, że zajmie się dziś porządnie ogródkiem. Skrzynki z rozsądą, które kupiła w weekend, stanowczo domagały się przesadzenia.

Włożyła świeżo uprane dżinsowe ogrodniczki, jaskraworóżowy podkoszulek i prawie przez godzinę uwijała się w ogródku skalnym, gdy nagle oderwał ją od pracy warkot silnika. Spojrzała na uliczkę i natychmiast rozpoznała postać wysiadającą z

białego, sportowego samochodu. W kierunku jej domu podążał Daniel Canaday we własnej osobie.

– Cześć! – zawołał, mrużąc oczy w uśmiechu. – Pomyślałem, że tu panią znajdę. Człek ze mnie uparty, więc przyjechałem sprawdzić, czy nie zmieniła pani zdania na temat dzisiejszego wieczoru.

– Jak pan znalazł mój adres? – spytała z wyraźnym zaskoczeniem, podchodząc do drewnianej furtki, aby ją otworzyć.

– Dyskretna inwigilacja Howarda Trevalleya na coś się przydała. No i pogawędka z właścicielką tutejszego sklepiku.

– Sprytnie z pana strony. Nie powinien pan jednak przyjeżdżać. – Sięgnęła ręką do zamka.

– Doprawdy, Rosalie? – Nieoczekiwanie pochylił się ku niej przez furtkę, wziął jej ręce w swoje dłonie i objął w pieśczośliwym uścisku. Wpatrywała się niemo w ich splecione palce i czuła jego gorący oddech we włosach, gdy szeptał: – Czy rzeczywiście nie powinienem przyjeżdżać?

– Dlaczego pan przyjechał? – spytała, tracąc oddech. Delikatny ucisk palców przesuwających się po jej dłoniach był elektryzujący.

– Przecież to oczywiste – odparł. – W ciągu ostatnich dziesięciu dni okazywałem jasno i wyraźnie, że szalenie mi się podobaasz i pragnę poznać cię bliżej. Nie czujesz tego samego?

– Tak... nie. Jak może pan tak mówić? Prawie się nie znamy.

– No i nie poznamy się, jeśli będziemy spotykać się tylko w szpitalu.

– Proszę, doktorze Canaday...

– Danielu, na litość boską! – wybuchnął. – Mój Boże, Rosalie, zachowujesz się jak wiktoriańska panienska. Jestem pewien... Wiem, że nie pomyliłem się co do twoich uczuć. Popatrz tylko! Wcale mnie nie odpychasz.

To była prawda. Z rękami uwięzionymi w uścisku, właściwie opierała się o ramię Daniela, niemal dotykając czołem jego silnie zarysowanej brody, zaś kosmyki jej gęstej, niesfornej grzywki splątały się z jego zbyt długimi włosami.

Przyciągał ją jak magnes. Nigdy przedtem nie doświadczyła takiej siły przyciągania. Z niezwykłą wyrazistością postrzegala jego mocne ciało, długie uda, falujące włosy, delikatne wyżłobienie górnej wargi, nawet maleńką białawą bliznę na prawym policzku i ten niespotykany zapach, który roztaczał wokół siebie. Nie ufała jednak swoim zmysłom. Wszystko stało się zbyt szybko, zbyt nagle. Mógł przecież należeć do mężczyzn, którzy uwodzenie kobiet mają we krwi, którzy swój niezwykły powab wykorzystują...

– A więc? – spytał, ciągnąc ją ku sobie. – Musisz coś odpowiedzieć.

Nagle zrozumiała, że w tym dziwnym stanie podniecenia milczała zbyt długo.

– Proszę wejść – powiedziała speszona. Pieścił teraz rękami jej talię. Za chwilę ją pocałuje, a ona tęskniła za dotykiem tych wrażliwie wykrojonych warg z namiętnością, która ją przerażała. – Nie powinniśmy tu stać – wyszeptła. – Ktoś może nas zobaczyć. – Odsunęła się od niego i nieporadnie biedziła się z zamkiem przy furtce.

Daniel, słysząc jej ostatnie słowa, uniósł brew w osłupieniu. W okolicy nie było nikogo, kto mógłby ich zobaczyć. Sąsiedzi z naprzeciwka przyjeżdżali tu tylko na weekendy, mieszkający zaś nieco dalej państwo McGonigal spędzali większość czasu przed telewizorem. Prowadząc go przez ogródek do domku, odzyskała nieco spokoju. Jednak na krótko. Gdy tylko drzwi za nimi się zatrzasnęły i stanęła z doktorem Canadayem twarzą w twarz, ogarnęła ją nowa fala emocji.

– Rosalie, powiedz mi, czego się obawiasz? Nie jesteś mężatką, prawda?

– Nie.

– A więc nikt nas nie przyłapie in flagranti, bo ja także jestem wolny.

– Jestem wdową.

Nagle zatrzymał się pośrodku dywanu, który przemierzał w tę i z powrotem. Zapadła chwila krępującej ciszy.

– Och, Rosalie – wyszeptał. – Jakże mi przykro. Musisz bardzo cierpieć. Zachowałem się jak bałwan!

– Ależ nie – zaprzeczyła gwałtownie, nie chcąc pogłębiać nieporozumienia. – To stało się dawno temu. Jestem wdową od piętnastu lat.

– Hu?! Chyba musiałaś być dzieckiem wychodząc za męża!

– Miałam wówczas osiemnaście lat – odparła – a on trzydzieści. Zmarł cztery lata później. Teraz mam trzydzieści siedem lat.

– Nie chcesz chyba powiedzieć – rzekł po głębszym namyśle – że niepokoi cię różnica wieku? To absurd! Kompletny absurd!

– Nie masz racji.

– Zapewniam cię, że to bzdura. Sama powiedziałaś, że było... ile?... dwanaście lat różnicy między tobą a twoim mężem.

– To zupełnie co innego.

– Ależ dlaczego?

– Och, nie muszę ci chyba wyjaśniać. – Zaczęła, jak on przed chwilą, spacerować

nerwowo po dywanie. Wprost nie mogła uwierzyć, że ta rozmowa w ogóle ma miejsce. Spierali się niczym dwoje kochanków, a przecież zaledwie się poznali. – W wieku osiemnastu lat – ciągnęła – byłam, podobnie jak większość dziewcząt, wystarczająco dojrzała do zamążpójścia. Wątpię, czy tak było w twoim przypadku. Teraz jestem już w średnim wieku, ty zaś wchodzisz w swe najlepsze lata. Jeszcze niedawno byłeś studentem. Możesz mieć każdą z tych ślicznych, młodych dziewczyn. Mnie natomiast trudno nazwać atrakcyjną.

Mówiła z pasją i prawdziwym przekonaniem. Przyzwyczajona do swej niezwyklej urody, przyjmowała ją bez emocji. Zupełnie nie miała pojęcia, jak oszałamiające wrażenie wywierała. Patrząc rano i wieczorem w lustro, nie była w stanie dostrzec fascynującej, żywej mimiki, która dodawała jej twarzy tyle uroku, świadczyła o głębi emocjonalnej i żywotności. A jeśli chodzi o figurę... Cóż, gdy podziwiała smukłe jak trzcina modelki lub przysłuchiwała się młodym pielęgniarcom, rozpaczającym nad najmniejszą fałdką na biodrach, czyż mogła być zadowolona ze swych dojrzałych kształtów?

– Trudno cię nazwać atrakcyjną! – wybuchnął po chwili Daniel Canaday. – Gdy wpadłaś na to zebranie w zeszłym tygodniu, z policzkami jak... Do licha!

Rosalie Crane, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Doprawdy? – odparowała. – A zatem, doktorze Canaday, powinien pan spędzać więcej czasu poza szpitalem!

Popatrzyli na siebie bezradnie, a potem, ku wzajemnej uldze, oboje wybuchnęli gromkim śmiechem. On opadł na stojącą za nim kwiecistą kanapę, Rosalie zaś rozsiadła się wygodnie w fotelu. Przez chwilę odpoczywali w milczeniu, które tym razem nie było krępujące.

– Czy doszliśmy do jakichś ustaleń? – spytał w końcu nieśmiało.

– Nie sędzę – odparła z bezradną szczerością.

Z jakąż swobodą nazwał ją „piękną"! To jedynie potwierdzało jej podejrzenia, że przelotnie nią zafascynowany pragnął przeżyć krótki, burzliwy romans. Jednak poczuła się nagle spokojniejsza, dochodząc do tej konstatacji. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy namiętny romans nie był również tym, czego sama potrzebowała. W takim razie nie powinna się niczego obawiać. Różnica wieku nie miała tu żadnego znaczenia.

– Czy rzeczywiście różnica wieku tak bardzo cię przygnębia? – spytał łagodnie, jak gdyby czytając w jej myślach. – A może jesteś mocniej związana z Howardem Trevalleyem, niż pierwotnie sądziłem?

– Nie... – odrzekła z wahaniem. – Jeszcze nie. Po prostu przyjaźnimy się i to wszystko. Ale jeśli bym myślała o czymś poważniejszym, muszę przyznać, że to

człowiek odpowiedni, rozsądny, który ma wiele do zaoferowania.

– Odpowiedni i rozsądny – przedrzeźniał ją złośliwie. – Już sobie wyobrażam, jak spędzacie wspólne wieczory. Zapewne umawiacie się w co drugi czwartek, żeby pójść na kolację. Założę się, że do Baldwina?

– Skąd wiesz? – spytała z zapartym tchem.

– A więc trafiłem?

– Owszem.

– Do Baldwina! – parsknął gromkim śmiechem.

– Co ci się nie podoba?

– Ależ nic. Przepraszam, zachowuję się niewłaściwie. Wcale nie miałem zamiaru wyśmiewać się z Howarda Trevalleya. W istocie to miły człowiek i znakomity chirurg, ale... wybac, pomysł, że ty i on... i Baldwin!

– Lubię tę restaurację – broniła się wojowniczo, choć nie całkiem uczciwie.

– Rosalie, masz w sobie dziesięć... sto razy więcej życia, niż myślisz! – Podszedł do niej zniecacka, postawił na nogi i mocno do siebie przytulił. – Czy pozwolisz mi to udowodnić?

– Jak? – Ogarnęła ją z nagłą falą tak silnego pożądania, że z trudem mogła mówić.

– To nie będzie zbyt przerażające. – Musnął wargami jej włosy i czoło. – Nawet cię nie pocałuję. Przynajmniej na razie. Co powiesz na wspólną kolację?

– U Baldwina? – spytała z lekką drwiną.

– Och, nie. Dam ci wybór: ryba z frytkami i sałatką oraz butelką dobrego wina na plaży, gdzie będziemy obserwować zachód słońca i brodzić w morzu...

– Za zimno. Poza tym zapowiadają deszcz.

– W takim razie możemy zjeść u mnie spaghetti carbonara albo pójść do małej restauracyjki Chez Guillaume, gdzie nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać.

– Och, Chez Guillaume! To brzmi cudownie – zgodziła się błyskawicznie, zbyt przestraszona perspektywą spędzenia wieczoru w jego mieszkaniu.

– Tchórz! – roześmiał się porozumiewawczo.

Wyglądał jednak na zadowolonego. Rosalie zastanawiała się, co by się stało, gdyby po namyśle przyjęła wyzwanie i powiedziała: „Chodźmy do ciebie”. Czy on w ogóle wiedział, jak się przyrządza spaghetti carbonara?

– Poczytam sobie, gdy się będziesz przebierać – oznajmił. Sam ubrany był w ciemne spodnie i jasnoszarą koszulę.

– Myślisz, że muszę się przebierać? – powiedziała z ironią, głaszcząc palcami wytarty dżins, jakby był ostatnim krzykiem mody z Paryża.

– Właściwie nic nie mam przeciwko tym ogrodniczkom – zażartował. – Bardzo podoba mi się sposób, w jaki podkreślają kształt twojej... – urwał i uśmiechnął się bezwstydnie, wyraźnie zadowolony z rumieńca, jaki wywołał na jej twarzy.

– Przebiorę się – powiedziała lekko zażenowana i pobięła na górę.

Rozdział 3

Przebrać się – ale w co? Oto było pytanie. Miała właściwie tylko jedną wizytową sukienkę – złoto-kremową, z jedwabnego dżerseju, która w korzystny sposób miękką linią podkreślała jej figurę. Może nawet zbyt podkreślała. Przez moment wahała się, czy nie będzie wyglądać zbyt prowokacyjnie.

W końcu włożyła prostą halkę, a na nią sukienkę, której jedwabne fałdy opadały dokładnie tuż za kolana. Materiał opinał jej ciało jak miękki futerał, tak że nawet bardzo skromny, niewielki dekolt wydawał się zbyt zuchwały. Powiesiła na nim delikatny, złoty medalion, włożyła na nogi cieliste, skórzane pantofle na niskim obcasie i przystąpiła do makijażu. Pociągnęła bezbarwną kredką usta, lekko wytuszczyła rzęsy i na koniec energicznie wyszczotkowała włosy, tak że ich gęste fale okalały jej głowę niczym opadająca do ramion aureola. Z perfum zrezygnowała – wydały jej się zbyt zmysłowe.

Kiedy zeszła na dół, Daniel wstał na jej widok i nie powiedział nic. Jeśli obawiała się dezaprobaty, jej wątpliwości szybko zostały rozwiane. Podając Rosalie wiosenny, szafirowy płaszczyk, musnął palcami jej kark, a potem, położywszy dłonie na jej ramionach, odwrócił ją do siebie i pochylił głowę do jej ust.

– Proszę, jeszcze nie teraz – wykrztusiła, zdradzając tym samym świadomość nieuchronności pocałunku. Płonęła z pożądania i to ją przerażało. Z otuchą myślała o restauracji, o bezpiecznej atmosferze, w której będzie mogła spokojnie porozmawiać.

Nie usiłował przełamać jej oporu. Puścił ją posłusznie i spytał beztroskim tonem:

– Jesteś głodna? Bo ja bardzo.

Restauracja znajdowała się dość daleko, poza Plymouth. Był to mały, intymny i tłoczny lokal. W przeciwieństwie do Baldwina trudno tu było znaleźć stolik oddalony od innych. Danielowi to w ogóle nie przeszkadzało. Zachowywał się z naturalną swobodą, zupełnie inaczej niż Howard, który zawsze ukradkiem upewniał się, czy nie widać nikogo ze znajomych. Postępowanie Howarda wydało jej się teraz dziwne i wysoce irytujące. Czego się tak bardzo obawiał? Czyżby wstydził się swej przyjaźni z siostrą oddziałową? Pod wpływem tych myśli poczucie winy wobec Howarda przestało ją dręczyć.

Zaczęła się zastanawiać, czy poślubiłaby Howarda, gdyby ją o to poprosił. Pół roku temu niewątpliwie by to uczynił. Teraz nie miała już takiej pewności.

– On również sam robi czekoladki – zauważył Daniel. – Są znakomite z kawą i likierem.

– Och, już nie mogę! – jęknęła Rosalie.

– Musisz! – nalegał. – Tylko mi nie mów, że jesteś na diecie!

– Nie, ale...

– Dzięki Bogu! Jednego, czego naprawdę nie znoszę, to odchudzających się kobiet. W Stanach wszystkie się odchudzają.

– Naprawdę?

– Nawet gdy przypominają patyki. A ile o tym rozprawiają! „Kochanie, ile procent tłuszczu zawiera twój hot-dog? Czy nie wolisz namiastki sera o niskiej zawartości cholesterolu, a na deser soi posłodzonej sztucznym słodzikiem, która do złudzenia przypomina migdały z miodem?”

– Po takiej tyradzie, aby ocalić swoją reputację, muszę zjeść czekoladki, nieprawdaż?

– Mądra decyzja.

Kolacja była znakomita. Marynowany kozi ser, soczyste krewetki w imbirowym sosie, schab z owocami, na deser zaś jagodowy suflet, a teraz czekoladki i kawa.

Gdy czekali na te ostatnie smakołyki, Rosalie powiedziała zamyślona:

– Danielu, sądziłam, że będąc kardiologiem jesteś zwolennikiem tych wszystkich nowych produktów o niskiej zawartości tłuszczu.

– Skłaniam się raczej ku zasadniczej zmianie stylu życia – odparł zdecydowanie.

– Ta cała gadanina o dietach jedynie ludzi ogłupia. Wydaje im się, że w ten sposób dbają o swoje zdrowie, a tymczasem pielęgnują stare, złe przyzwyczajenia.

– Podaj mi jakiś przykład.

– Widzę, że wkraczamy w fachowe tematy...

Po raz pierwszy w ciągu całego wieczoru rozmowa zeszła na profesjonalne tory. Rosalie była nawet zaskoczona, że do tej pory – przez prawie dwie godziny – uniknęli tematów, którymi w oczywisty sposób byli zainteresowani.

– Widzisz – wyjaśniał Daniel – okazało się, że w Ameryce większość ludzi, którzy jadali dotąd zwykłe, tłuste hamburgery, zamawia teraz hamburgery beztłuszczowe, ale za to z podwójnym serem.

– A zatem pochłaniają tyle samo tłuszczu i cholesterolu, ale mają wrażenie, że odżywiają się zdrowo – wtrąciła.

– Otóż to. Zamiast puszki słodzonego cukrem napoju wypijają sześć z dodatkiem sacharyny i są wielce z siebie zadowoleni. A powinni po prostu zamiast beztłuszczowego ciasta ze sztucznie słodzoną śmietaną zjeść sałatkę ze świeżych owoców.

– Nie można powiedzieć, byśmy dziś wieczór zastosowali się do twoich wskazówek żywieniowych – przypomniała.

– Czasami lubię sobie pofolgować, ale wówczas jadam wyłącznie pełnowartościowe produkty.

– Zważywszy moje zwyczaje żywieniowe, zastanawiam się, czy ja mogę sobie pozwolić na taką ucztę.

– Och, jestem pewien, że tak. Widziałem twój warzywniak – te wszystkie sałaty, marchewki i zioła.

– A więc w porządku. Nie będę się obwiniać z powodu sufletu. Danielu, czy pozwolisz, że jeszcze chwilę porozmawiamy o sprawach fachowych?

– Oczywiście, jeśli masz ochotę – powiedział, unosząc brew. – Wiesz przecież, że jestem pasjonatem swego zawodu.

– Widzisz, chodzi o transplantacje. Wydaje mi się, że skłaniasz się raczej ku zachowawczemu leczeniu chorób serca niż ku operacjom. Dlaczego?

– Niezupełnie tak – odparł bardzo poważnie.

– Uważam, że zawsze należy znaleźć najbardziej odpowiedni sposób leczenia pacjenta. W niektórych przypadkach wystarczają środki farmakologiczne i zmiana trybu życia chorego, kiedy indziej zaś, gdy nie ma nadziei...

– Jak u Jackie?

– Właśnie. Wówczas transplantacja jest jedynym wyjściem.

– A jednak wielu ludzi nadal uważa, że transplantacje to wymysł jakiegoś doktora Frankensteina.

– No cóż, tak często bywało z wielkimi odkryciami w medycynie. Równie nieufnie odnoszono się do szczepień, narkozy itd. Oczywiście transplantacje nie mogą być jedynym kierunkiem rozwoju medycyny, ale niewątpliwie spełniają znaczącą rolę.

Rosalie słuchała z zainteresowaniem, przytakiwała, czasami robiła krótkie komentarze. Daniel mówił bardzo rozsądnie. Rozmawiał z nią jak równy z równym, interesując się jej wypowiedziami, jakby była specjalistką na jego poziomie.

– Uff, wykonałam gigantyczną pracę umysłową – roześmiała się, kiedy zakończyli wymianę poglądów na temat zagadnień etycznych dotyczących problemu transplantacji.

Siedzieli już w restauracji bardzo długo i nadal ociągali się z wyjściem. Było coś magicznego w tym wieczorze i wcale nie chcieli uciekać z tego zaczarowanego świata. Rosalie przestała porównywać Daniela z Mikiem czy Howardem, nie

zastanawiała się już nad emocjami, jakie ten mężczyzna w niej obudził. Zaczynała natomiast poznawać i rozumieć jego osobowość. Podziwiała emanującą z niego energię, śmiałe opinie, które ożywiały dyskusję, dynamizm ujawniany w słowie i działaniu, a jednocześnie dostrzegała jego wrażliwe, miękkie serce, żywo reagujące na problemy i troski innych ludzi.

Do domu wracali w milczeniu. Droga zdawała się niebywale krótka. Z uczuciem ulgi, ale i pewnego rozczarowania, Rosalie doszła do wniosku, że prawdopodobnie nie zakończy tego wieczoru w jego ramionach. Gdy zatrzymał samochód przed bramą, powiedziała po prostu:

– To był cudowny wieczór, Danielu. Doskonale się bawiłam.

– Cieszę się, bo ja również.

– Nie musisz mnie odprowadzać – szepnęła, kładąc rękę na klamce.

– Ależ odprowadzę cię! – Wskoczył z samochodu i stanął przy jej drzwiach, nim zdążyła je otworzyć.

– Nie zamierzam całować cię w samochodzie – dodał pieszczotliwie, pomagając jej wysiąść.

Ledwie wypowiedział te słowa, poczuła wzbierającą falę napiętności. Nie potrafiła wydobyć głosu.

W milczeniu przesyconym napięciem szli wyżwirowaną ścieżką. Czy wpuści go do środka? Nie była pewna. Na ganku zwróciła ku niemu twarz, choć nadal nie znajdowała słów.

W końcu to on przemówił.

– Nie zamierzam czekać, aż wejdziemy do środka.

I w jednej chwili znalazła się w jego ramionach.

Zachłanne usta dosięgły jej ust. Nie wzbraniała się. Wszelkie próby i tak byłyby niemożliwe. Tulił ją mocno, przyciskał do swego sprężystego ciała, a potem nagle zwolnił uścisk, by spragnionymi palcami szukać jej zaokrąglonych bioder, talii i wreszcie jędrnych piersi, ukrytych pod cienkim, miękkim dżersejem.

Rosalie, opierając dłonie o jego mocną klatkę piersiową, czuła jej szybkie wznoszenie się i opadanie. Na krótką chwilę oderwał wargi od jej twarzy i powiedział:

– Bardzo cię pragnę, Rosalie.

Nie wiedząc kiedy, odrzekła:

– Wiem. Ja też cię pragnę.

Nigdy przedtem tak otwarcie i szczerze nie wyznała mężczyźnie swych pragnień. Nawet z Mikiem w trakcie blisko czteroletniego pożycia zachowywała się z większą rezerwą. Słowa, które przed chwilą wypowiedziała, zdawały się rozbrzmiewać echem wokół nich, mimo że powiedziała je szeptem. I nagle powróciły jak fala wszystkie jej lęki i obawy. Jakże mogła zaufać tak gwałtownej namiętności.

W chwilę później uwolnił ją z uścisku.

– Lepiej już pójdę – powiedział. – Jest późno. Jutro rano muszę być w szpitalu. Od północy mam dyżur przy telefonie.

– Jutro też jestem na pierwszej zmianie – wykrztusiła.

– A więc spotkamy się w szpitalu.

Pochylił się i delikatnie musnął wargami jej nos. Po chwili rozpląnął się w ciemności i pomyślała z żalem, że dzisiaj nie usłyszy już jego głosu, gdy raptem przy bramie odwrócił się i zawołał:

– Masz klucze?

– Tak. – Włożyła odruchowo rękę do małej, wieczorowej torebki.

– Poczekam, aż zapali się światło na górze.

Trzy minuty później, gdy była już w swojej sypialni, usłyszała warkot zapuszczanego silnika.

– Miała pani wczoraj długą randkę, siostró Crane? – spytała bezczelnie Elise podczas porannego zebrania pielęgniarek.

Rosalie zdążyła już co najmniej trzy razy ziewnąć, ale żadna z trzech młodszych sióstr nie miała odwagi czynić niesmacznych aluzji. Słowa Elise wzbudziły teraz porozumiewawczy chichot.

– Nie spałam zbyt dobrze – odparła Rosalie sztywno, zastanawiając się, czy powinna zbesztać Elise Jones za zuchwałość. Nigdy nie chciała być zasadniczą i srogą siostrą przełożoną, ale... czy Elise nie posuwała się za daleko? Z drugiej strony jednak była to miła, posłuszna i pracowita dziewczyna.

– Stan pana Slade'a znacznie się pogorszył – powiadomiła schodząca z nocnej zmiany siostra Louise Porter.

– Zawiadomię doktora Canadaya, jak tylko przyjdzie – odparła Rosalie.

– Będzie dziś rano w szpitalu? – spytała Margaret Binns.

– Och... tak, tak sędzę. – Rosalie była zła na siebie. Nie powinna się rumienić ani jąkać, gdy tylko padało nazwisko Canaday. Zachowywała się jak nieśmiała,

zakochana panienka!

Gdy wreszcie zebranie dobiegło końca i pielęgniarki rozeszły się, poczuła ulgę.

– Byłeś wzywany w nocy? – spytała ze współczuciem, gdy zmęczony i blady Daniel Canaday pojawił się w kilka minut później na oddziale.

– Tak, o drugiej i teraz, przed wyjściem do pracy. Jest tu gdzieś kawa?

– Zaraz ci zrobię.

– Coś pilnego dzieje się na oddziale?

– Siostra Porter jest zaniepokojona panem Slade'em. Jego stan stale się pogarsza.

– Już do niego idę.

Była to zwykła wymiana zdań między lekarzem a dyżurną pielęgniarką, ale wyczuwało się w ich wzajemnym odnoszeniu pewien rodzaj ledwie uchwytnego napięcia. Rosalie sprawiała wrażenie zażenowanej. Nie potrafiła ukryć, że żyje wspomnieniem wczorajszego wieczoru. Zrobiła szybko kawę i zniosła do pokoju pana Slade'a, ale Daniel był zbyt zajęty pacjentem, by w ogóle zwrócić na nią uwagę.

– Proszę oddychać głęboko, panie Slade – mówił.

Pan Slade z trudnością wziął oddech, a doktor Canaday uważnie obserwował ciśnieniomierz. Odwrócił się do Rosalie i podał jej słuchawki.

– Chcesz posłuchać?

Wzięła stetoskop i przyłożyła go do klatki piersiowej pacjenta. Tony serca były ledwie słyszalne.

– Ciśnienie skurczowe spada na szczycie wdechu – powiedział.

– Sądziś więc... ?

– Tak. Zapalenie osierdzia, w dodatku z wysiękiem.

– Och, tylko nie to! – szepnęła przestraszona.

– Zrobimy jeszcze USG. Jeśli wysięk będzie zagrażał tamponadą, trzeba będzie zrobić nakłucie, albo w najgorszym razie ponownie otwierać klatkę piersiową.

– A więc powrót na intensywną terapię? – spytała.

– Tak.

Oboje wiedzieli, że szanse pana Slade'a na wyzdrowienie znacznie się zmniejszyły. Zapalenie osierdzia występowało u około dziesięciu procent pacjentów po operacji wszczepienia bypassów, ale ten przypadek wyglądał wyjątkowo groźnie. Pan Slade już przed operacją kwalifikowany był jako pacjent wysokiego ryzyka.

– Czy doktor Forster ma dziś dyżur chirurgiczny? – spytał Canaday.

– Tak. Mam go wezwać?

– Skonsultuję się najpierw z Maxem Hillstonem.

Gdy tak rozmawiając wracali do dyżurki, omal nie wpadła na nich pędząca na oślep Elise Jones. Kardiolog błyskawicznie wyciągnął rękę, by ją podtrzymać.

– Och, przepraszam, doktorze – wykrztusiła zaaferowana.

– Radzę uważać na tę lakierowaną podłogę – uśmiechnął się, po czym zwrócił się do Rosalie: – Muszę wpaść na chwilę do przychodni. Zaraz wracam.

– Och! – jęknęła Elise, dramatycznie przykładając rękę do czoła, gdy sylwetka Canadaya zniknęła za drzwiami oddziału. – Co za mężczyzna! Siostrze, co za mężczyzna!

– Nie rozumiem, Elise – powiedziała Rosalie drętwo.

– Uważam, że jest niezwykle przystojny!

– Chyba tak – powiedziała Rosalie głosem surowym i wielce afektowanym. – W każdym razie to znakomity kardiolog – dodała i poczuła się bardzo głupio. Przemawiała niczym stuletnia babcia!

Elise musiała odnieść podobne wrażenie, bo powtórzyła zdziwiona:

– Znakomity kardiolog? Och, tak, z pewnością. Ale to jego widok ścina mnie z nóg. No tak, pani nie zwraca na to uwagi. Na pani stanowisku... – urwała i uśmiechnęła się niepewnie. Być może chciała powiedzieć „w pani wieku”, ale widać ugryzła się w język.

– To prawda – odcięła się Rosalie. – W zasadzie nie przywiązuję do tego wagi. Natomiast irytuje mnie, gdy moje pielęgniarki nie przykładają się do pracy z powodu głupich amorów.

– Och! – Elise zarumieniła się uroczo. – Nie mówię poważnie. On i tak prawdopodobnie jest zakochany w jakiejś porywającej dwudziestopięcioletniej niewieście, która ma doktorat ze starożytnej greki albo języka staronordyckiego. – Ton głosu zdradzał, że w jej mniemaniu dwadzieścia pięć lat to dla kobiety wiek średni.

– Dlaczego z greki? – rzuciła mimochodem Rosalie.

– Och, wie pani... Może niekoniecznie greka, ale z pewnością coś w tym guście. Zapewne nosi włosy związane w węzeł i ogromne okulary, ale gdy je zdejmie i rozpuści kok... to szkoda gadać!

– A jakiego koloru ma te włosy? – spytała kpiąco Rosalie.

– Oczywiście blond! Nikt co prawda nie . podejrzewa, że blondynka może mieć trochę oleju w głowie, ot, choćby ja nie mam ani kropli, ale on jest tak bardzo

spozostzegawczy, że wyłowil z tłumu tę jedną jedyną jasnowłosą intelektualistkę!

– Masz bujną wyobraźnię, Elise.

– Owszem. To bardzo przydatne. Dzięki temu nie robię z siebie idiotki przed takimi mężczyznami jak doktor Canaday. Ale, siostrze, mam problem z panią Travis...

Nim Rosalie zdążyła ochłonać, zuchwała praktykantka zalała ją potokiem pytań dotyczących pacjentki.

Wkrótce potwierdziły się obawy doktora Canadaya. Badania wykazały u pana Slade'a zapalenie osierdzia z wysiękiem i Max Hillston szybko skierował pacjenta na stół operacyjny. Zaraz potem przeprowadzono jeszcze jedną nagłą operację wszczepienia potrójnego bypassu, tak więc na oddziale przez cały dzień panowała ciężka i nerwowa atmosfera.

Rosalie chodziła przygaszona. Nie potrafiła wlać w siebie energii i optymizmu. Na domiar złego przesładowała ją wizja fascynującej blondynki, którą wykreowała Elise, choć zdawała sobie doskonale sprawę, że to idiotyzm. Stale wracała myślami do ostatniego wieczoru, do tego namiętnego pocałunku pod drzwiami... Te wspomnienia nawiedzały ją zniecka, w najbardziej nieodpowiednich momentach. Osoba Daniela Canadaya zdominowała jej świat do tego stopnia, że traciła kontrolę nad sobą.

Gdy dotarła do domu, nie czuła jednak zmęczenia. Nastawiła jazzową płytę i z werwą zabrała się do przyrządzania kolacji. Potem, napędzana jakąś dziwną energią, wyjęła teczkę z wykrojami i jedwabną taftę, która od miesiący leżała w szufladzie. Stanowczo nadszedł czas, aby uszyć sobie nową, wieczorową suknię!

I właśnie wtedy zadzwonił telefon.

– Cześć! – Nie przedstawił się, ale natychmiast rozpoznała głos.

– Witaj – odrzekła z zapartym tchem.

– Co porabiasz?

– Szyję... a właściwie wybieram model.

– Szyjesz? W sobotni wieczór?

– Nie zapominaj, że cały dzień ciężko pracowałam. – Próbowała ubiec jego sprzeciw. – Jestem zbyt zmęczona, żeby wyjść.

– Ale nie tak bardzo zmęczona, żeby szyć?

– Przynajmniej nie muszę się ubierać.

– Nie musisz się ubierać, żeby wyjść ze mną na kawę i do kina.

– Żebyś tylko widział, jak wyglądam!

- Bardzo bym chciał. Może siebie opiszesz?
- Zresztą i tak nie mogę. To znaczy jest już bardzo późno...
- Dopiero wpół do dziewiątej. Będę u ciebie o dziewiątej. Kawiarnia jest blisko kina, a seans zaczyna się o dziesiątej piętnaście. Na którą jutro idziesz do pracy?
- Na trzecią po południu.
- No to zdążysz się wyspać.
- Ale przecież ty masz dyżur pod telefonem...
- Zaryzykuję. Nie powiedziałaś mi w końcu, jak wyglądasz.
- Mam na sobie wyciągniętą czerwoną bluzę i džinsy.
- Brzmi obiecująco. Będę za pół godziny.

Odłożył szybko słuchawkę, by nie zdążyła się sprzeciwić, i ostatecznie była z tego nawet zadowolona. Myśl, że za chwilę go ujrzy, sprawiała, iż czuła się anielsko, niebotycznie szczęśliwa. Oczywiście nie mogła wziąć na poważnie jego słów o džinsach i bawełnianej bluzie. Odłożyła wykroje i pomknęła na górę przebrać się w coś stosownego.

Po krótkim namyśle założyła czarną, wełnianą spódniczkę i kremową, koronkową bluzkę – strój, który wielokrotnie przywdziewała na spotkania z Howardem. Wyglądała w nim skromnie i elegancko – w sam raz.

Daniel Canaday, jak miało się niebawem okazać, był całkiem odmiennego zdania. Gdy otworzyła mu drzwi, posłał jej zdziwione spojrzenie.

- Gdzie podziałaś swój purpurowy pulower?
- Nie wygłupiaj się, przecież nie mogłabym w tym wyjść.
- Ależ jak najbardziej! Liczyłem, że cię ujrzę w tych niezwykle zestawionych kolorach. Żywa purpura z tym... – Sięgnął po lśniący, rudy pukiel jej włosów.
- W tym ci się nie podobam? – powiedziała zmieszana jego gestem i zła na siebie, że w ogóle zadała takie pytanie, na które mogła usłyszeć jedynie konwencjonalny komplement.

Ale Daniel Canaday odpowiedział z bezpretensjonalną i niewątpliwie niekonwencjonalną szczerością:

- Nie podobasz mi się. Nie powinnaś łączyć bieli z czernią.
- Bluzka jest kremowa.
- Niech jej będzie. Sam kremowy jest w porządku. Sama czerń również... – Dostrzegł jej z nagłą zeszywniałą twarz i chwycił ją pospiesznie w ramiona. Z ustami wtulonymi w jej policzek szeptał: – Uwielbiam kolor twych włosów i oczu... i

skóry... Nie mogę znieść, gdy one bledną przy takim pedantycznym zestawieniu. Chcę cię widzieć w zieleni, w różu, w rudościach albo w złocie, tak jak wczoraj. Twoje włosy wyglądały jak prawdziwy płomień!

Poddała się namiętnemu pocałunkowi, którym zakończył swe wyznania. Dotknięcie jego warg uśmierzyło ból spowodowany krytyką. Stali mocno w siebie wtuleni. Jej pełne, miękkie piersi opierały się o jego klatkę piersiową, a nogi przywierały do jego długich, smukłych ud.

Zapomniała, że stoją we frontowym holu, że mieli za chwilę pójść do kina, że Cedric, jej kot, niepomny surowych zakazów zapewne wślizgnie się ukradkiem do domu. Liczył się tylko Daniel i jego usta błędzące po jej twarzy, szukające jej ust...

- Przepraszam za nieobliczalną szczerość – wyszeptał do jej ucha.
- Nie szkodzi.
- Nieprawda. To jedna z moich głównych wad.
- Ona mi się podoba. – I znów utonęli w nieskończenie długim pocałunku.
- Trudno mi przestać – usprawiedliwiał się czule i bezradnie.

Ale ona modliła się o jedno: żeby tylko nie przestał... żeby nigdy nie przestawał. Była już całkiem pewna, że właśnie z tym mężczyzną – i jedynie z nim – osiągnie rozkosz, jakiej nigdy nie zaznała, przewyższającą wszystko, czego doświadczyła niegdyś z Mikiem w małżeńskiej sypialni.

Jednak raz jeszcze zwyciężył rozsądek. Owiani zimnym powietrzem ochłonęli, uspokoili oddechy. Rosalie poczuła ulgę, że nie uległa porywowi zmysłów z mężczyzną, o którym przecież niewiele wiedziała. Zarzucając wiosenny płaszcz na ramiona, zamknęła drzwi i w milczeniu udała się do samochodu.

- To nowe kino – wyjaśniał Daniel po drodze.
- Bardzo modernę. Co wieczór późny seans. Myślę, że spodoba ci się film. Francuski. Le-coś tam. W każdym razie z Gerardem Depardieu. On teraz gra na okrągło.

Kawiarnia miała ekstrawagancki wystrój. Panował tu półmrok. Goście siedzący przy niziutkich stolikach wiedli ożywione, snobistyczne rozmowy, których fragmenty dobiegały do uszu Rosalie.

- Dynamika wyrazu w pracach Mapplethorpe'a...
- Malutkie kawałeczki białej, japońskiej rzodkiewki...
- Powiedziałam Jasonowi, że jeśli nadal będzie spotykał się z Lindą i Rachel, nie przestanę zadawać się z Brendanem i Johnem...

Dziewczyny ubrane były swobodnie i kolorowo w opięte legginsy, podkoszulki

lub minisukienki. Rosalie odnosiła wrażenie, że nie pasuje do tego dziwnego, artystycznego świata. Daniel zdawał się na szczęście nie zwracać na nic szczególnej uwagi. Teraz dobrze wiedziała, że miał rację. Jaskrawa bluza, dżinsy i stare zamszowe buty – dawno już odstawione do lamusa – byłyby tu o wiele bardziej na miejscu. Nabrała strasznego przeświadczenia, że jego długi wywód o kolorach był tylko taktownym pretekstem, by...

Do licha, właściwie co on miał naprawdę na myśli?

Rozdział 4

– To była najgorsza tandeta z pamiątkowej emisji, więc rzecz jasna jej nie kupiłem. Był ogromnie rozczarowany. Biedak, zupełnie nie miał pojęcia o monetach...

Howard Trevalley rozprawiał o numizmatyce – swoim ulubionym hobby. Rosalie słuchała z pobłażliwym zainteresowaniem, żywiła bowiem wiele zrozumienia dla pasji kolekcjonerskiej przez sentyment do swego nieżyjącego już ojca – niegdyś zagorzałego filatelisty. Pamiętała z dzieciństwa, jak ojciec godzinami, z wielką swadą, potrafił gawędzić o znaczkach. Musiała przyznać, że Howard Trevalley nie posiadał takiego daru opowiadania.

Właściwie Howard ją dzisiaj irytował. Przede wszystkim nawet nie zauważył jej nowej sukni z rudej tafty, którą w pocie czoła szyła podczas dwóch wolnych od pracy dni. Była z niej wielce zadowolona. Wybrała śmiały, by nie rzec szokujący fason – sztywny materiał opinał jej talię i biodra, a głęboki, wdzięcznie wycięty dekolt odważnie odsłaniał pełne, białe piersi. Nim włożyła suknię, przeżyła chwilę wahania, czy powinna wystąpić w tej kreacji u boku Howarda. Dziś rano jednak poczuła nagły przypływ buntu. Zapragnęła go zaszokować. W tej sukni wyglądała tak ponętnie, że Howard musiał wreszcie zauważyć w niej kobietę. Może sprowokowany wyzna w końcu jasno swe intencje, zrobi zdecydowany ruch, rozbudzi w niej namiętność i obraz Daniela Canadaya zatrze się w jej pamięci i rozplynie w nicość.

Daniel... Z wysiłkiem odsunęła tę postać na dalszy plan i ponownie skoncentrowała się na osobie Howarda. Na litość boską! Zachował się tak, jakby po prostu miała na sobie czarną spódnicę i kremową bluzkę – och, jakże nienawidziła teraz tego stroju – przywitał ją ciepło i uprzejmie, a potem przelotnie, gestem dalekim od zmysłowości, dotknął jej ramienia, gdy szli w kierunku samochodu. A liczyła przecież na jakąś żywszą reakcję – cokolwiek byle nie to!

Siedzieli teraz przy wybornym deserze w Idiosyncrasy, ekskluzywnej restauracji w centrum Plymouth. Rosalie nadal cierpliwie oczekiwała komplementu. W przyćmionym, złotawym świetle jej taftowa suknia mieniła się rozlicznymi odcieniami radości, a matowa, biała skóra na dekolcie przypominała gładką kość słoniową. Ale na twarzy Howarda zamiast podziwu malowało się rozdrażnienie, jakby wiódł z kolegą po fachu długą, męczącą i nie prowadzącą do wspólnych wniosków medyczną polemikę.

– Sprawiasz dziś wrażenie bardzo zamyślanej – powiedział z nutą irytacji w głosie.

Rosalie drgnęła niczym wyrwana z głębokiego snu. Czy nadal mówił o

monetach? Ze wstydem musiała przyznać, że straciła wątek.

– Och, jestem trochę zmęczona. – Na potwierdzenie słów ziewnęła, zakrywając dłonią usta.

– W takim razie możemy już wyjść. Może zrezygnujemy z kawy?

– Jeśli nie masz nic przeciwko...

– Ani trochę. – Dla odmiany teraz on popadł w zamyślenie. Zdawało się, że szuka odpowiednich słów. – Spędziliśmy z Cathy u mojej siostry bardzo przyjemny weekend – powiedział w końcu.

– Cieszę się. – Nie tego się spodziewała.

– Wspomniałem Cathy o tobie.

– Naprawdę?

– Tak. Do tej pory nic nie mówiłem, ale... to zaczynało być podejrzane. Ostatecznie jesteśmy tylko przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi, mam nadzieję? – Uśmiechnął się z nieśmiałą kokieteryą.

– Ależ oczywiście – zapewniła go.

– Doszedłem więc do wniosku, że nie ma powodu, bym nie rozmawiał o tobie ze swoją córką.

Nie bardzo wiedziała, na jaką reakcję z jej strony Uczył. Czyżby sądził, że w ten sposób posuwa się do przodu? Dlaczego wyrażał się tak niejasno? Gdyby była pewna, że powodowała nim nieśmiałość, może uzbroiłaby się w cierpliwość, ale z drugiej strony wiedziała przecież, że w innych życiowych sprawach potrafił zdobyć się na odwagę.

– Zastanawiałem się – ciągnął – czy mój pomysł, abyśmy spędzili razem weekend, nie był jednak przedwczesny. Mogłaś się poczuć zażenowana.

– Nic podobnego – zaprzeczyła delikatnie.

– Tym niemniej, jeśli ktoś by się o tym dowiedział, byłibyśmy w niezręcznym położeniu. Wiesz, jacy są ludzie.

– Może masz rację – przyznała pojednawczo, a jej myśli opanował znów Daniel Canaday. Ten nie miał żadnych skrupułów, co kto sobie pomyśli, nie ukrywał swego zainteresowania i... pożądania. Pewnego dnia niemal zostali przyłapani na całowaniu się w windzie, i to przez Elise Jones we własnej osobie! To było w poniedziałek, dwa dni po wspólnym wypadzie do kina, gdzie przez cały seans pozostawała w jego objęciach, rozpalona namiętnością i podnieceniem.

Całowali się później w samochodzie, całowali na progu domu. Niewiele brakowało, by zaprosiła go do środka. Później w szpitalu starała się traktować go

chłodno w obawie, by nie stracić samokontroli. Ale nie udało jej się oszukać Daniela. W jego czarnych oczach, gdy tylko skrzyżowali spojrzenia, niezmiennie pojawiał się ten niepokojący błysk. Czego od niej chciał? Seksu? Była już niebezpiecznie bliska oddania mu się i on prawdopodobnie doskonale o tym wiedział.

W gruncie rzeczy powinna być wdzięczna Howardowi, że niczego nie przyspieszał. Dawał jej czas na przemyślenie sytuacji. Jako człowiek starszy i doświadczony musiał wiedzieć, że ostrożność nigdy nie zawadzi, zwłaszcza jeśli w grę może wchodzić małżeństwo.

– Masz rację – powtórzyła z większym przekonaniem. – Być może jest jeszcze za wczesnie mówić o wspólnym weekendzie. Ostatecznie nie ma przecież pośpiechu.

– Oczywiście, nie ma pośpiechu! – zgodził się niemal entuzjastycznie.

Pół godziny później, kiedy odprowadził ją pod drzwi domu, z galanterią dotknął chłodnymi wargami jej policzka.

Rosalie poruszyła się niespokojnie na fotelu. Orkiestra stroiła instrumenty, a z ogromnej, prawie już wypełnionej widowni dochodził szmer głosów. Za chwilę zapadnie cisza i rozpocznie się uwertura do „Giselle”, a fotel Daniela obok niej nadal był pusty. Najprawdopodobniej coś pilnego musiało go zatrzymać w szpitalu. Mimo tych uspokajających myśli dotkliwie odczuwała jego nieobecność, niemal za nim tęskniła. Wczoraj skończyła pracę o trzeciej, a dziś miała wolny dzień. Przyjechała do miasta autobusem, żeby zrobić zakupy, a ponieważ zajęło jej to więcej czasu, niż się spodziewała, zdecydowała się nie wracać już do domu. Jej purpurowa sukienka, dopasowana w stanie, a od talii rozchodząca się szerokimi fałdami do pół łydki, znakomicie nadawała się na tę okazję.

Postanowiła przekąsić coś w mieście i udać się prosto do teatru w nadziei, że później Daniel odwiezie ją do domu. Tak zresztą się umawiali. „Przyjdę prosto ze szpitala” – zapewniał.

Światła na widowni pogasty i zapadła cisza, którą po chwili przerwały oklaski. To dyrygent pojawił się w kanale dla orkiestry.

I właśnie wtedy, gdy rozbrzmiewały już pierwsze akordy uwertury, Rosalie usłyszała w ciemności poruszenie. Daniel, przepaszając po cichu widzów, przeciskał się między rzędami na swoje miejsce.

– Przepraszam – zwrócił się ledwie słyszalnym szeptem do Rosalie, ale nawet to wywołało poirytowane „szsz...” siedzących w pobliżu melomanów.

Chwilę później kurtyna poszła w górę i rozpoczęło się przedstawienie. Był to występ znakomitego australijskiego baletu, przebywającego na tournée po Europie.

Rosalie uległa czarowi widowiska, na chwilę zapominając o bliskości Daniela. Trwało to jednak krótko. Niespodziewanie poczuła ciężar na swoim ramieniu i delikatny dotyk włosów Daniela. W pierwszym odruchu instynktownie przytuliła się doń, ale po chwili pojęła ze zgrozą, że to nie był z jego strony żaden romantyczny gest. Kardiolog w najlepsze spał.

Czyżby już zdążył się znudzić? – przebiegło jej przez myśl. Może wcale nie lubi baletu i kupił bilety wyłącznie po to, aby jej sprawić przyjemność?

Nie, po prostu musiał mieć pracowity dzień w szpitalu. To wyjaśnienie wydawało się bardziej sensowne. Rozluźniła się ponownie i nawet zsunęła nieco w fotelu, aby było mu wygodniej. Nie chciała go budzić.

– Co... ? Co? – Podskoczył raptownie, gdy zapaliły się światła, a głośne oklaski obwieściły koniec pierwszego aktu. Usiadł sztywno, jakby połknął kij i zaczął przecierać oczy.

Rosalie spostrzegła, że powieki miał zaczerwienione, a twarz bladą i wymęczoną.

– Danielu! Co się stało? Jesteś wykończony!

– Och, naprawdę? Chyba masz rację. Czy przespałem całość?

– Skończył się pierwszy akt. Powinieneś zawiadomić mnie, że nie przyjdiesz.

– Nie wygłupiaj się! To tylko przelotna niedyspozycja. Nie mogłyby nie przyjść z tak błahego powodu.

Choć być może jedynie wrodzona uprzejmość dyktowała mu te słowa, wypowiedział je głosem pieszczotliwym i tak przekonującym, że serce Rosalie napełniło się radością. Świadomość, że Daniel tak wysoko ceni sobie jej towarzystwo, wprowadziła ją w nedorzecznie dobry humor.

– Ale co się stało? Dlaczego nie spałeś tej nocy?

– Och, ty przecież nic nie wiesz! Wyszłaś wczoraj o trzeciej. Wyobraź sobie, że serce Jackie...

– Och! – jęknęła, tknięta złym przecuciem. W ciągu ostatnich dwóch tygodni stan serca Jackie stale się pogarszał.

– Jej nowe serce! – wyjaśnił Daniel pośpiesznie. Na jego wyczerpanej twarzy malował się teraz entuzjazm. – To były najdłuższe dwadzieścia cztery godziny w moim życiu. Właściwie prawie trzydzieści... To się zaczęło niedługo po twoim wyjściu ze szpitala. Stan Jackie pogarszał się z godziny na godzinę. Robiłem wszystko, aby utrzymać ją w stanie pozwalającym na operację. Mogło przecież dojść do uszkodzenia nerek. I nagle otrzymaliśmy wiadomość, że wkrótce dostaniemy serce. Zostało przywiezione o jedenastej rano.

– Skąd?

– Stąd. Nie ma niebezpieczeństwa, że leżało zbyt długo w lodzie. Po prostu szybki przejazd ambulansem przez miasto.

– Ofiara wypadku drogowego?

– Nie. – Sposepniał na twarzy. – Wypadek na placu zabaw. Upośledzony umysłowo chłopiec, jeden z pięciorga dzieci. Matka odwróciła głowę, a on wspiął się zbyt wysoko na drabinkę i spadł.

– To okropne – westchnęła Rosalie.

– Wiem. Rodzice bez oporów zgodzili się na oddanie organów. Myślę nawet, że to im pomoże złagodzić ból po stracie syna. Często tak bywa. Jego rogówki pojechały do Londynu, a nerki do Portsmouth i Southampton.

– Przestań! Mówisz, jakby chodziło o wysłanie kilku paczek!

– Nie możesz patrzeć na to w ten sposób, Rosalie. – Mówił tonem stanowczym, niemal zawziętym, a jego czarne oczy patrzyły rozkazująco. – Ten chłopiec i tak by umarł, a jeśli nie byłoby transplantacji, zmarłoby jeszcze troje innych dzieci: nasza Jackie i dwoje nastolatków, którym przeszczepiono jego nerki. To jest jedyna droga ratowania życia.

Rosalie siedziała milcząca i bezradna, gdy przypatrywał jej się badawczo spod przymkniętych powiek, w końcu odetchnęła głęboko i powiedziała:

– Masz rację. Oczywiście, że masz rację. Byłeś przy operacji?

– Tak, ale na szczęście nie byłem potrzebny. Wszystko poszło gładko. Ona jest teraz na intensywnej terapii. Przez najbliższe dni będzie dostawać standardowe leki: steroidy, aby zlikwidować możliwość odrzucenia przeszczepu, antybiotyki przeciw ewentualnej infekcji, dopaminę na poprawienie krążenia w nerkach i inne leki na ogólną poprawę krążenia. Po spektaklu pojedę jeszcze raz do szpitala. – Zagłębił się w fotelu i potarł zmęczoną twarz drżącymi z lekka rękoma.

Rosalie nie usiłowała się przeciwstawiać. Doskonale wiedziała, że u lekarzy praca często wygrywała ze snem. Zaproponowała tylko, że z nim pojedzie i poprowadzi mu samochód, na co przystał bez szczególnego entuzjazmu.

Rozpoczął się drugi akt. Tym razem Daniel usiłował nie zasnąć i nawet przez dłuższą chwilę mu się to udawało. Ale w końcu, gdy na scenie przygasły światła, głowa opadła mu bezwładnie i Rosalie delikatnie położyła ją na swoim ramieniu. Uśmiechnęła się do siebie w ciemności. Biedny Daniel!

Doznała przyływu głębokiej, ciepłej czułości, tak odmiennej od gorącego, zmysłowego podniecenia, które zazwyczaj odczuwała w jego obecności. To nieznanne uczucie niezwykle ją poruszyło. Daniel wsparty na jej ramieniu wyglądał bezbrannie

i wzruszająco jak dziecko, ale zarówno jego masywna postać, jak i przyczyna zmęczenia – niedawno stoczył przecież bój o ludzkie życie – dobitnie świadczyły, że zasnął obok niej znużony mężczyzna.

Zdała sobie nagle sprawę, że już nigdy nie będzie mogła słuchać tej muzyki, nie myśląc o Danielu. Bez względu na to, co się stanie, jaka czeka ich przyszłość – razem czy osobno – zawsze będzie pielęgnowała to wspomnienie. Nie wiedziała tylko, czy powinno to budzić w niej radość, czy napawać lękiem.

W drodze do szpitala Daniel, zanim znów zdrzemnął się na tylnym siedzeniu, powiedział ze skrucą:

– Przepraszam. Chyba popsulem ci wieczór.

– Ależ skądże! – zaprzeczyła zgodnie z prawdą. Siedząc w teatrze, z głową Daniela złożoną na swej piersi, żywiła jedno pragnienie: by spektakl trwał wiecznie. – Obawiam się jednak, że ty...

– Wyobraź sobie, że też słuchałem. Słuchałem podświadomie i doprawdy spędziłem niepowtarzalny wieczór.

A kiedy dotarli na szpitalny parking, spytał:

– Wejdiesz? Ona leży w izolatce.

– Będę więc musiała popatrzeć przez szybę.

Daniel myślami był już przy swojej pacjentce;

przyspieszył kroku, tak że ledwie za nim nadążała.

Potem z niecierpliwością czekali na windę. Na twarzy kardiologa malowało się teraz skupienie. Zapewne zadawał sobie mnóstwo pytań, roztrząsał rozmaite szczegóły. Jackie groziło przecież tyle niebezpieczeństw: infekcja, niewydolność nerek, nie wspominając już o najgroźniejszym – odrzuceniu przeszczepu.

Izolatka była niewielkim aneksem przy Oddziale Intensywnej Terapii Kardiologicznej. Rosalie stanęła przy szybie, skąd widziała cały pokój, a Daniel z zawodową wprawą zakładał sterylne odzienie. To była bezwzględna konieczność. Organizm Jackie, osłabiony lekami immunosupresyjnymi, które chroniły jej ciało przed odrzuceniem przeszczepu, podatny był na infekcje.

Po chwili Rosalie zobaczyła Daniela, jak pochyła się nad pacjentką. W izolatce siedziała również pani Rogerson oraz dyżurna pielęgniarka. Jackie była podłączona do respiratora, elektrokardiografu, kroplówek, drenów i miała założony cewnik. W otoczeniu tego całego sprzętu wyglądała krucho i prawie bez życia, ale Rosalie odetchnęła z ulgą, widząc na twarzy pielęgniarki uśmiech, gdy odpowiadała na szereg pytań zadawanych jej przez lekarza. Pani Rogerson włączyła się do rozmowy, a Daniel mówił coś, czego Rosalie oczywiście nie mogła usłyszeć, i uspokajał

przejętą matkę gestami rąk. Potem zaczął przeglądać w skupieniu kartę, gdzie odnotowywano bieżące wyniki badań.

Rosalie odniosła wrażenie, że obserwuje niemy film lub pantomimę, w której Daniel Canaday bezbłędnie gra swą rolę. W niebieskim szpitalnym fartuchu, czepku, masce, rękawiczkach i pantoflach był w swoim żywiole.

Przebywał już u Jackie prawie kwadrans, ale Rosalie nie czuła znudzenia. Pani Rogerson i pielęgniarka pozdrowiły ją przez szybę. Daniel nie spojrzał na nią ani razu. Stał teraz nieruchomo, wpatrzony w swą małą pacjentkę wzrokiem badawczym i czułym zarazem, jakby oczekiwał od niej potwierdzenia, że wszystko będzie w porządku. Rosalie rozumiała doskonale jego uczucia. Nieraz zachowywała się podobnie w stosunku do własnych, ciężko chorych pacjentów. Wiedziała, że gdyby znalazł po temu pretekst, przesiedziałby z Jackie całą noc.

Kiedy w końcu opuścił izolatkę, wrzucił swój ubiór do kosza i posłał Rosalie błędne spojrzenie.

– Cały czas stałaś przy szybie?

– Tak.

Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. W tym wypadku nie potrzebowali słów.

– Wszystko w porządku – oznajmił z zadowoleniem. – Za wcześnie wyrokować o przebiegu całej rekonwalescencji, ale na razie nie ma żadnych niepokojących objawów. Jutro odłączymy respirator. Bez tej rury w gardle będzie mogła mówić.

– Nie sądzę, aby chciała nam dużo powiedzieć.

– I na szczęście prawdopodobnie niewiele będzie pamiętać z tych pierwszych dni.

Wyszli ze szpitala i odjechali w milczeniu. Rosalie prowadziła. Daniel z widocznym wysiłkiem, walcząc ze snem, pilotował ją do swego domu. Czyżby jego zmęczenie okazało się zaraźliwe i zmąciło jej jasność umysłu? A może w obecności tego mężczyzny po prostu nie potrafiła się skupić? Zupełnie nie pojmowała, jak to się stało, że dopiero skręcając w uliczkę, przy której mieszkał, zdała sobie sprawę, iż będzie musiała pojechać do domu taksówką.

Daniel jednak miał własną, stanowczą opinię na ten temat:

– Wykluczone! Przenocujesz u mnie. Na którą jutro idziesz do pracy? Na popołudnie? A więc zdasz jutro pojechać do domu. Łóżko w gościnnym pokoju jest posłane. – I nie zważając na jej protesty, dodał ze zniecierpliwieniem: – Nie widzę w tym nic niestosownego. Zapewniam cię, że jestem zbyt zmęczony, by nawet myśleć o... – urwał, obydwójce bowiem pomyśleli nagle o tym samym, po czym z impetem otworzył drzwi samochodu i wysiadł, a ona bez słowa wyjęła kluczyki ze stacyjki i

podążyła za nim.

– Muszę być jutro o szóstej w szpitalu – rzucił bezosobowym tonem. – Potrzebuję snu. I nie spierajmy się więcej na ten temat. Proszę.

Nie spierała się. Posłusznie szła za nim w górę po kamiennych stopniach.

Dom był starą, wiktoriańską rezydencją, którą obecnie podzielono na cztery duże apartamenty. Daniel wprowadził Rosalie do ogromnego pomieszczenia, które kiedyś zapewne było wyłącznie kuchnią, a teraz ze względu na swą niebywale wielką powierzchnię pełniło również rolę salonu. Można tu było z powodzeniem gotować i jednocześnie urządzać wystawne przyjęcia. Na ceramicznej podłodze leżał perski dywan, przestrzeń zaś wypełniały półki z książkami i kwiaty doniczkowe. Cieszyły oko gustowne, oryginalne drobiazgi, nad dobozem których, jak podejrzewała Rosalie, musiała osobiście czuwać siostra Daniela, Amanda. Jedną ze ścian dekorował orientalny gobelin, a nie opodal niego stała stara kasa sklepowa, starannie wyczyszczona do połysku. Gdzie indziej przykuwały wzrok wyrzeźbione z drewna kolorowe owoce, z połotem poukładane w dużej, drewnianej misie.

– Podoba mi się tu – powiedziała Rosalie, gdy gospodarz przyrządzał dla niej gorącą czekoladę.

– Dzięki. – Postawił przed nią dymiący kubek, a sam nalał sobie szklanekę wody.

– Twoja siostra ma rzeczywiście wspaniały gust.

– Amanda? – roześmiał się. – Przyjmuję to za komplement, choć nie sądzę, by ona była podobnego zdania. To wszystko moje własne pomysły. Amanda ma bardziej konwencjonalne podejście do wystroju wnętrza.

– Och! – Rosalie roześmiała się również. – Pewna jestem, że jej punkt widzenia też by mi się spodobał, ale... – Chciała już powiedzieć, że właśnie jego koncepcje szczególnie przypadają jej do gustu, ale w samą porę ugryzła się w język. Te słowa mogłyby zabrzmieć prowokująco, gdy o tak późnej porze siedzieli sami w jego mieszkaniu. Dokończyła więc pośpiesznie, wytrzymując jego pytający wzrok: – Nie mam żadnego wykształcenia w dziedzinie sztuki ani doświadczenia w urządzaniu wnętrza, więc nie sądzę, by moje opinie przedstawiały dla twojej siostry jakąś wartość.

– Och, myślę, że się mylisz – powiedział cicho, a ona nie bardzo wiedziała, jak powinna to rozumieć.

Kwadrans później leżała w czystej, pachnącej lawendą pościeli i rozmyślała. Daniel przed udaniem się do swej sypialni posłał jej tylko zmęczony uśmiech i zdołał powiedzieć zaledwie kilka słów pożegnania. Dobrze wiedziała, co ten uśmiech oznaczał. Obydwoje wiedzieli. Gdyby Daniel nie był tak wykończony, jej nocleg tutaj byłby zbyt niebezpieczny.

Do licha, jest już wystarczająco niebezpiecznie – pomyślała z bijącym sercem, niespokojnie czekając na sen. Wszystko dzieje się zbyt szybko.

– Wybierasz się na to zebranie, dotyczące przeprowadzenia akcji zapobiegającej chorobom serca?

– zwróciła się do Rosalie Beverly Moore we wtorek, gdy schodziły z porannego dyżuru.

– Oczywiście. Interesowałam się tym pomysłem, odkąd zaczęto o nim mówić. Chyba zgłoszę się nawet do komitetu organizacyjnego – dodała z lekkim wahaniem, wiedząc, że w ten sposób przyjmie na barki dodatkowe, poważne zobowiązania.

– Wyobraź sobie, że też o tym myślałam – podjęła ochoczo Beverly. Krępa, ciemnowłosa, niespełna trzydziestoletnia dziewczyna miała dużo ambicji. Od dwóch lat uczęszczała na wieczorowe kursy zarządzania służbą zdrowia. – Byłoby to ciekawym doświadczeniem, a poza tym dobrze wygląda w życiorysie.

– Przyjdzie nam zatem rywalizować o stanowisko przewodniczącej – uśmiechnęła się Rosalie.

– Przewodniczącej? Och, żartujesz sobie! W każdym razie w komitecie na pewno wystarczy dla nas miejsca. Zebranie jest o szóstej. Wracasz jeszcze do domu?

– Nie, już nie warto – odparła Rosalie. – Mam jeszcze trochę roboty, a potem pójdę się przewietrzyć.

– Chodźmy więc razem na kawę – zaproponowała Beverly.

– Och, niestety... muszę jeszcze zrobić zakupy.

– No, trudno. – Młodsza siostra wzruszyła ramionami. – A więc do zobaczenia o szóstej!

Rosalie kłamała. Nie wypadło to zbyt zręcznie, ale przecież nie mogła ot tak sobie poinformować Beverly, że Daniel Canaday zaprosił ją dziś rano na kawę.

Kiedy Beverly lekko nadąsana wyszła, Rosalie pospiesznie przebrała się w ciemnozieloną sukienkę w indyjski deseń, którą przywiozła ze sobą dziś rano. Już po chwili była na parkingu przy samochodzie Daniela.

Ale jakież było jej rozczarowanie, gdy na umówionym miejscu Daniela nie zastała. Na wilgotnej od deszczu karcercze, którą wyjęła zza wycieraczki, widniały słowa: „Nie mogę przyjść. Coś mi wypadło. Przepraszam. D. ”

Przeżyła wstrząs – zupełnie nieuzasadniony wobec błahości sprawy, a jednak nie była w stanie opanować bolesnego rozczarowania. Zaczęła iść nieprzytomnie przed siebie, nie otwierając parasolki, choć deszcz siąpił coraz mocniej i zupełnie

zapominając, że na parkingu zostawiła swój własny samochód. Bezwiednie kierowała kroki do kawiarni, o której mimochodem wspomniał.

To śmieszne, żeby tak się przejmować – pouczała się w duchu. Z pewnością wydarzył się jakiś nagły wypadek. Oby tylko nie chodziło o Jackie Billings. Za dwie godziny go przecież zobaczę.

Pocieszanie nie na wiele się zdało. Czowała ból w sercu, niczym ostry cierń, i zaczęła się zastanawiać, nie po raz pierwszy zresztą, czy jej zainteresowanie Danielem nie posunęło się za daleko, nie stanowiło niebezpieczeństwa. Gdy w grę wchodził ten mężczyzna, najwyraźniej traciła zdolność racjonalnego myślenia!

W kawiarni zajęła pierwszy z brzegu stolik. Zamówiła kawę, ciastko i, aby przestać myśleć o Danielu, sięgnęła po gazetę pozostawioną tu przez poprzedniego klienta. Za każdym razem jednak, gdy otwierały się drzwi, nerwowo unosiła głowę. Za trzecim razem, gdy podniosła znad gazety wzrok, napotkała zimne, urażone spojrzenie... Beverly Moore. I wówczas, zupełnie bezsensownie, zasłoniła twarz gazetą. Zanim zdołała ochłonąć, zanim pojęła, jak beznadziejnie głupio postąpiła, było za późno, by dogonić Beverly. Zdażyła już wtopić się w uliczny tłum.

– Do diabła! – zaklęła pod nosem. – Beverly pomyśli, że odrzuciłam jej zaproszenie, bo jej nie lubię!

Zachowała się jak skończona idiotka! Głupio, że okłamała koleżankę, głupio, że przyszła do kawiarni – a już chowanie się za gazetą wypadło gorzej niż źle. Nie pozostawało nic innego, jak złapać Beverly przed zebraniem, wyznać jej prawdę i przeprosić.

– Przykro mi, Bev – powiedziała skruszona, siadając pół godziny później obok koleżanki w sali konferencyjnej. – Byłam z kimś umówiona. Powinnam ci od razu powiedzieć. Właściwie nie wiem, dlaczego kłamałam. – Zarumieniła się ze wstydu.

– Coś poważnego? – spytała Beverly. Wyglądała na rozchmurzoną.

– No... jeszcze nie wiem. W każdym razie on w ostatniej chwili odwołał spotkanie i oczywiście, gdybym popisała się większym refleksem, mogłybyśmy spędzić razem popołudnie. Przepraszam, że tak głupio się zachowałam.

– Rozumiem – rzekła Beverly pojednawczo. – To pewnie ktoś ze szpitala?

– Owszem.

– Istotnie, sytuacja niezręczna. Zapomnijmy o całej sprawie.

Choć Beverly sprawiała wrażenie całkowicie udobruchanej, Rosalie czuła się nadal nieswojo i pragnęła, by zebranie w ogóle się dzisiaj nie odbyło. Z tyłu usłyszała głos Daniela, zajętego rozmową z Maxem Hillstonem. Wkrótce weszło jeszcze kilkanaście osób, a wśród nich Heather Barry, przełożona wolontariuszy,

niestrudzona działaczka społeczna, kolejna – zdaniem Rosalie – kandydatka na przewodniczącą komitetu.

– Przesuńmy się trochę do przodu – zasugerował Daniel Canaday, wysuwając się na środek. W jakiś dziwny sposób od razu stał się centralną postacią zebrania i, mimo że od tak niedawna pracował w szpitalu, głównym inicjatorem wdrożenia projektu w życie. – Na tym etapie nie mamy w ogóle pieniędzy – mówił – ale nigdy ich nie dostaniemy, jeśli sami nie znajdziemy sponsorów. Lokalne władze są zainteresowane projektem i nawet miałem nadzieję, że ktoś z nich pokaże się tu dzisiaj, ale niestety... Oni się nie zaangażują, jeśli najpierw sami nie pokażemy, na co nas stać.

Blisko godzinę zajęło omawianie rozmaitych pomysłów na zdobycie pierwszych funduszy. Potem nadszedł czas, by przystąpić do wyboru komitetu organizacyjnego. Niekwestionowanym przewodniczącym został Daniel Canaday.

– Potrzebuję czterech osób – powiedział. – No, może pięciu... Większa grupa łatwo ulega dezintegracji i trudno nią kierować. – Uśmiechnął się znacząco, a zebrani przyjęli ze zrozumieniem jego punkt widzenia.

– Zgadzam się z pańską opinią – powiedział Max Hillston. – Sam, co prawda, nie mam czasu na włączenie się w prace organizacyjne, ale zapewniam, że chętnie wesprę wszelkie inicjatywy.

– A więc, kto z państwa jest zainteresowany? – Daniel obrzucił pytającym wzrokiem zebranych i prześlizgnął się po brązowych oczach Rosalie, nie po raz pierwszy zresztą podczas tego zebrania.

Liczyła, wbrew zdrowemu rozsądkowi, że obdarzy ją jednym z tych czułych i żarliwych spojrzeń co zwykle, ale tak się nie stało. Czy rzeczywiście dziś po południu był wzywany do nagłego przypadku?

– Potrzebujemy sekretarki i skarbnika. Jak widzicie, jestem optymistą, bo jednak liczę na pieniądze. I jeszcze dwie osoby, które zajmą się sprawami bieżącymi.

– Chętnie zostanę skarbnikiem – zaoferował się Jim Paulson, pacjent po zawale, bardzo przejęty szczytną ideą, a na dodatek członek miejscowego świata biznesu.

Zgłosiła się jeszcze Heather Barry oraz pani Paulson, która – jak się okazało – miała spore doświadczenie w pracach organizacji charytatywnych oraz, podobnie jak jej mąż, kontakty we wpływowych sferach.

– Brakuje zatem jednej osoby – powiedział Daniel Canaday.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem jednocześnie Rosalie i Beverly zgłosiły swe kandydatury.

Daniel Canaday z wyraźnie ponurą miną spojrział na Rosalie. W jego zmrużonych oczach czaiło się ostrzeżenie – wystarczająco wymowne, by od razu zrozumieć, że po

prostu nie życzył sobie jej uczestnictwa w Komitecie.

– Musimy przegłosować – wtrącił Jim Paulson. – Myślę, że gwoli formalności powinniśmy przegłosować wszystkie kandydatury.

– Oczywiście, ma pan całkowitą rację – zgodził się skwapliwie Daniel. – Proponuję małą przerwę na kawę, a tymczasem – zwrócił się do Heather, która pełniła rolę protokółantki – może pani zdąży przygotować karty do głosowania.

Po chwili prawie wszyscy stłoczyli się w niewielkim bufecie na zapleczu sali konferencyjnej.

– No i co? Rywalki! – roześmiała się Beverly i pomknęła ustawić się w kolejce po herbatę.

Rosalie również wstała i wolno skierowała się do malutkiej kuchenki. Zdążyła zrobić kilka kroków, gdy nagle poczuła czyjąś rękę na swym ramieniu i usłyszała znajomy, niski głos:

– Muszę z tobą porozmawiać.

Daniel Canaday pociągnął ją na korytarz, a stamtąd do bliźniaczej sali konferencyjnej po drugiej stronie kuchennego bufetu. Znaleźli się nagle w kompletnej ciemności, wśród ustawionych rzędów krzeseł. Dochodziła jedynie smuga światła spod drzwi oraz okienka łączącego salę z kuchenką.

– Wycofaj swą kandydaturę – burknął. Był wyraźnie nachmurzony i spięty.

– Dlaczego?

– Och, teraz nie mam czasu ci tego wyjaśniać. – Zerknął na prostopadły snop światła sącący się przez okienko, skąd dobiegały znajome głosy. – Do licha, powinnaś się sama domyślać! Spotkamy się po zebraniu. Zaczekaj na mnie. Tylko, na litość boską, wycofaj swoją kandydaturę!

Wypadł z pokoju, nie czekając na odpowiedź. Stała w świetle padającym z otwartych teraz drzwi, a słowa Daniela rozbrzmiewały echem w jej uszach. Nie miała czasu roztrząsać przyczyny tego kategorycznego żądania, musiała szybko zdecydować, co zrobić. W przyпіlywie przekornego buntu pomyślała, że jednak się nie wycofa, ale gdy tylko znalazła się ponownie na sali obrad, postanowiła jednak spełnić jego dziwną prośbę.

Po zakończeniu zebrania szczerze pogratulowała Beverly i mimo pewnych oporów zdecydowała poczekać na Daniela, tak jak prosił, a właściwie rozkazał. Odczekała chwilę, aż wszyscy się rozejdą i podeszła doń, gdy właśnie zamykał drzwi od bufetu.

– Dlaczego nie chciałeś, bym zasiadała w Komitecie? – spytała bez ogródek.

Odwrócił się do niej, ściskając w ręku pęk szpitalnych kluczy.

– Naprawdę nie wiesz?

– Nie mam pojęcia.

Przemierzył jednym susem dzielącą ich przestrzeń i raptownie chwyciwszy ją w ramiona przycisnął usta do jej ust.

– Właśnie dlatego – powiedział. – Wystarczy, że co dzień widzę cię na oddziale i ledwie potrafię ci się oprzeć. W pracy przynajmniej jesteśmy zajęci, ale niektóre z zebrań komitetu będą zapewne nudne jak flaki z olejem i, na Boga, nie zdołam wysiedzieć, nie myśląc o tobie i nie pragnąc cię. Gotów bym wziąć cię za rękę i wyjść! Och, Rosalie...

Czuła, że płynący od niego żar kruszy resztki jej obrony i wtulona w jego usta i włosy wyszeptała:

– A ja chciałam być w tym Komitecie, aby stale cię widzieć.

W wyznaniu tym było tyle bezbronnej szczerości, że zaraz pożałowała wypowiedzianych jakby mimowolnie słów, ale on uśmiechnął się tylko pod nosem i zażartował:

– Ale przecież nie w takich okolicznościach pragniemy się widywać? „Doktor Canaday, przewodniczący i siostra Crane, członkini komitetu... Zapoznajmy się z protokołem... Siostrzo Crane, proszę odczytać... ” – przerwał i roześmiał się głośno, a potem zniżył głos: – Chcę się z tobą spotykać sam na sam, gdzieś, gdzie będziemy mogli...

Nie musiał kończyć. Rozumieli się bez słów. Stali wtopieni w siebie, oddychając przyspieszonym, urywanym oddechem.

– Zgadzasz się ze mną? – odezwał się w końcu.

– Tak – przyznała.

– Czyż możesz wyobrazić sobie gorszą sytuację?

– Chyba że... to między nami się skończy – powiedziała, tknięta nagle złym przeczuciem.

– Jeśli się skończy? – powtórzył jak echo i odsunął się od niej, ponieważ z korytarza dobiegły jakieś głosy. – Tak – dodał po namyśle – to byłoby znacznie gorsze.

Rozdział 5

Po raz pierwszy Rosalie odrzuciła zaproszenie Howarda na piątkowy wieczór. Posłużyła się śmieszną, dziecinną wymówką – podwieczorkiem u ciotki – i teraz, pełna winy, obawiała się, że prawda wyjdzie na jaw.

Zupełnie oszalałam na punkcie Daniela, pomyślała jadąc do pracy. Stanowczo powinnam z tym skończyć!

Był piątkowy poranek i dziś wieczór miała umówioną randkę z Danielem – oczywiście dlatego odmówiła Howardowi – i teraz czuła ogromne wyrzuty sumienia. Muszę odwołać to spotkanie! – pomyślała impulsywnie.

Spotkała Daniela przy łóżku pacjenta oczekującego na koronarografię. Pan Thompson przeżył niespokojną noc i gdy tylko Rosalie weszła do pokoju, zwrócił ku niej zatrwożoną twarz.

– Dzisiaj będę miał to badanie, siostrze?

– Nie, panie Thompson, dopiero w poniedziałek.

– W nocy miałem silne bóle.

– Nitrogliceryna nie pomogła?

– Okropnie mnie po niej boli głowa. Gorszy ból niż ten w klatce piersiowej. Ale... chodzi o to, że boję się tej koronaro... coś tam. Potem pewnie wszczępią mi bypass?

– O to musi pan spytać...

– Mnie. – W tej właśnie chwili pojawił się w pokoju Daniel Canaday. – Ale nie dosłyszałem pytania.

Pochylając się nad łóżkiem pacjenta, obdarzył Rosalie szybkim, elektryzującym spojrzeniem. I nagle uświadomiła sobie, że przez okno wpadają promienie słońca, a śpiew ptaków niemal zagłusza uliczny gwar. Nie, nie będzie w stanie odwołać wieczornego spotkania.

– Pan Thompson jest bardzo zaniepokojony koronarografią – wyjaśniła, z wysiłkiem skupiając myśli na pacjencie.

– Ależ zaraz wszystko panu wytłumaczę – uspokajał Daniel.

– Proszę śmiało pytać, panie Thompson – wtrąciła Rosalie i dodała z figlarnym uśmiechem: – Kardiolodzy co prawda zwykle są bardzo zajęci i uwielbiają robić ważne miny, ale, doprawdy, nie są bogami! Może pan szczerze zwierzyć się doktorowi ze wszystkich swych obaw. – Rzuciła Danielowi wyzywające spojrzenie i pospieszyła do następnego pacjenta, który, jak się zdawało, również potrzebował się

zwierzyć.

– Chodzi o to jedzenie, siostró – powiedział stary pan Fenstowe ochryłym głosem namiętnego palacza.

– Nie służy mi.

– Boli pana żołądek?

– Nie, to nie to. Tylko ta wczorajsza potrawa... Był ryż, ale jakiś taki brązowy. Zupełnie nie przypominał pocziwego puddingu ryżowego. To nie było słodkie. Zupełnie nie mogę się przyzwyczaić.

– Nie smakuje panu risotto z nie łuskanego ryżu?

– zdziwiła się Rosalie, ale zaczynała już pojmować, o co chodziło wybrednemu pacjentowi.

– Nie wiedziałem, że ryż może nie być łuskany. Widzi pani, może to i smaczne, ale moje przyzwyczajenia kulinarne...

– Zobaczę, co się da zrobić – powiedziała Rosalie, powstrzymując zniecierpliwione westchnienie.

Pan Fenstowe z wielce zadowoloną miną opadł na poduszki. Po prostu musiał z kimś pogawędzić i każdy pretekst był dobry. Na wszelki wypadek Rosalie postanowiła nie zawracać głowy dietetyczce. Może pan Fenstowe polubi z czasem risotto. Koniecznie trzeba skłonić jego żonę, by zaczęła prowadzić zdrową kuchnię, stosownie do diety ułożonej dla cierpiących na chorobę wieńcową.

Rosalie uśmiechnęła się z rezygnacją i opuściła pokój. Pan Fenstowe był doprawdy uroczym staruszkim, ale jego sposób życia i upodobania kulinarne nie mogły napawać optymizmem. Oto dlaczego tak ważką sprawą było szybkie upowszechnienie profilaktyki chorób serca. Takim ludziom jak staruszek Fenstowe nawet nie przychodziło do głowy, że można jadać brązowy ryż gotowany na parze z dodatkiem warzyw – zamiast białego ryżu z tłustą śmietanką, dżemem i jajkami.

Rosalie nagle uświadomiła sobie, dlaczego nie zasiada w Komitecie do walki z chorobami serca i przestała myśleć o niepoprawnym pacjencie. Wróciła pamięcią do owej rozmowy z Danielem sprzed dziesięciu dni: „Jeśli to się skończy...” – te złowieszcze słowa padły między nimi i nie potrafiła o nich zapomnieć. Targana sprzecznymi myślami kontynuowała obchód sal.

Daniela zobaczyła dopiero podczas lunchu, ale był tak zaaferowany, że rozmowa dotyczyła jedynie spraw zawodowych.

– Muszę wpaść jeszcze na górę do Jackie Billings – powiedział kończąc posiłek. Mała pacjentka po transplantacji czuła się dobrze i niebawem miała zostać przeniesiona na oddział kardiologiczny. – A jeśli chodzi o pana Thompsona –

kontynuował – wiesz, właściwie już zdecydowano wszczepić mu bypass, ale teraz po rozmowie z nim mam niejakie wątpliwości. On ma bardzo niechętny stosunek do operacji, natomiast z niekłamanym entuzjazmem odnosi się do leczenia zachowawczego. Ma bardzo dużo samozaparcia, gotów poddać się koniecznym rygorom. Oczywiście, wszystko zależy od wyników poniedziałkowego badania, ale już przeczuwam, że czeka mnie starcie z Trevalleyem. – Wypowiadając to nazwisko zmrużył oczy i badawczo spojrzął na Rosalie, jakby oczekując, że stanie w obronie kardiochirurga.

– On zazwyczaj skłania się ku leczeniu chirurgicznemu – powiedziała ostrożnie. – Nie dowierza silnej woli niektórych pacjentów. Prawdopodobnie uważa, że na dłuższą metę nie będą w stanie przestrzegać rygorystycznych zaleceń.

– W pewnym sensie masz rację – przyznał Daniel. – Ale sądzę, że on po prostu jest urodzonym chirurgiem. Lubi szybkie, drastyczne posunięcia, które rozwiązują problem od razu.

– A to zupełnie nie leży w pana guście, nieprawdaż, doktorze? – powiedziała półgłosem ze zwodniczą łagodnością.

Spojrzał na nią zdziwiony. Czyżby w jego ciemnych oczach obok zdziwienia pojawił się gniew?

– Co się stało, Danielu? – spytała prawie szeptem.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Nie powinienem rywalizować z Trevalleyem, czyż nie?

– Nie powinieneś. – Spokojnie wytrzymała jego wzrok, a potem, gdy już odszedł, zdała sobie sprawę, że być może nie chodziło mu o rywalizację zawodową.

Czy dziś wieczór, gdy przyjdzie do niej, będzie zły i rozczarowany? – zastanawiała się przez resztę dnia.

Po domu krzątała się zdenerwowana i spięta. Czy dlatego, że odrzuciła zaproszenie Howarda? Czy obawiała się złego humoru Daniela? A może po prostu pragnęła go jak najprędzej zobaczyć? Nie znajdowała odpowiedzi na te pytania.

Wzięła kąpiel, by się odprężyć, a potem założyła suknię z rudej tafty – bardzo obcisłą i bardzo wydekoltowaną, tak że musiała odpiąć od stanika ramiączka, by nie wystawały. Gdy zrobiła makijaż i uczesała włosy w lśniącą aureolę, zachnęła się nagle: czy nie wygląda zbyt prowokacyjnie? Co prawda Howard nie zwrócił na tę suknię żadnej uwagi, ale Daniel... Przy Danielu była o wiele bardziej świadoma własnej atrakcyjności.

Nerwowo usiłowała naciągnąć materiał, by w większym stopniu zasłonił jej białe

piersi i ramiona, ale wówczas suknia traciła fason. Z desperacją postanowiła się przebrać, lecz nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Ogarnięta podniecającą myślą, że oto za chwilę ujrzy Daniela, zbiegła na dół, po drodze gubiąc zdenerwowanie. W drzwiach stanęła bez tchu, zarumieniona i uśmiechnięta.

W ręku trzymał kwiaty – bukiet kremowych róż, białych goździków i jasnych, delikatnych lilii, żywo kontrastujący z jego ciemnym garniturem oraz jeszcze ciemniejszymi włosami i oczami. Nie musiała pytać, czy podoba mu się suknia. Oczy błyszczały mu zachwytem.

– Są piękne – powiedziała, biorąc kwiaty i zatapiając w nich twarz.

– Czy mogę wejść i pomóc ci je ułożyć? – spytał półgłosem, choć obydwójce wiedzieli, że piękne kwiaty zostaną zapomniane, gdy tylko wejdzie do środka.

Tak też się stało. Delikatnie wyjął kwiaty z jej ręki, położył je na niskim stoliku i bez słów otoczył ją ramionami, zanurzając pieszczotliwie palce w jej włosach, a potem zaczął gładzić jej szyję, nagi dekolt i ramiona. Uniosła głowę na spotkanie jego gorących, spragnionych ust i nie mogła się od nich oderwać, zdziwiona własną zachłannością.

Całował ją zrazu wolno, a potem coraz gwałtowniej, aż poczuła nagle falę rozkosznego ciepła, gdy usta jego stały się twarde, a ręce niemal żądające. Wodził teraz palcami po jej dekolcie, muskając krągłe piersi pod obcisłą, szeleszczącą taftą, a potem zsunął materiał z jej ramion; westchnęła głęboko i wydała cichy jęk, gdy niespodziewanie haftki stanika rozpięły się i nagle jej nagie, bezbronne piersi znalazły się w jego pożądlivych dłoniach.

Nie wiadomo kiedy znalazła się na miękkiej kanapie, czując na sobie ciężar ciała Daniela, a jego usta na swoich ustach. Cała drżąc, wygięła plecy i tuliła się doń, owładnięta pragnieniem dotykania jego nagiej skóry. Wyciągnęła rękę, by rozpiąć mu koszulę, ale on powstrzymał ją.

– Pozwól mi najpierw dokończyć – wyszeptał.

– Och, Rosalie tak bardzo cię pragnę...

Powoli zsunął suknię w dół aż do jej talii i wędrował płonąącym wzrokiem i pieszczotliwymi dłońmi po nagim teraz, pięknie wyrzeźbionym ciele. Jeszcze chwila, a będzie całkiem naga, i wtedy ona go rozbierze z takim samym gorączkowym pożądaniem, a potem...

– Nie, Danielu! Przestań! – zaprotestowała, czując jego zwinne palce na koronkowym obrzeżu jedwabnych majtek.

– Nie? – Zdziwiony, znieruchomiał natychmiast.

– Nie tutaj.

– Chcesz powiedzieć, że na górze?

– Nie... Jeszcze nie teraz.

Wypowiedziane słowa dzwoniły jej w uszach w martwej ciszy, która po nich zapadła. Czyżby wołała je cofnąć?

– Jesteś pewna? – spytał Daniel z niedowierzaniem.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. – Zdobyła się na stanowczy ton, choć walczyła z tak silną i nieodpartą potrzebą zmysłowego zaspokojenia, o jaką nigdy się nie podejrzewała.

– W porządku – powiedział wolno, z udawaną obojętnością.

Z uczuciem ulgi – a może żalu – usiadła, aby podciągnąć suknię i wtedy jej piersi znów otarły się o jego koszulę, tak że zapragnęła instynktownie, z obezwładniającą bezradnością wtulić z powrotem twarz w jego szyję, ale on odsunął się nieoczekiwanie.

– Nie, Rosalie – wykrztusił. – Albo natychmiast przestaniemy, albo nie przestaniemy wcale.

Z nagłością, która ją zaskoczyła, zsunął się z kanapy i pomaszerował w stronę schodów. Odwrócił się tylko na moment, żeby powiedzieć:

– Mamy zarezerwowany stolik i chyba już jesteśmy spóźnieni. Ubierz się szybko. Tylko nie zakładaj tej oszalamiającej kreacji, bo, na Boga, nie odpowiadam za siebie.

Kiedy usłyszała, jak drzwi dolnej łazienki zamykają się za nim, ciężko podniosła się z kanapy i z bijącym sercem weszła po schodach na górę.

W garderobie, przeglądając sukienki, drżała jeszcze ciągle z podniecenia. Jakże łatwo było posunąć się dalej. Dlaczego położyła temu kres?

Bo jestem głupia, pomyślała z goryczą. Najpierw chcę usłyszeć, że mnie kocha... Zachowałam się jak nastolatka. Widać jestem głupsza od Elise Jones, bo zakochałam się w nim tak prędko. W moim wieku takie młodzieńcze zadurzenie! Do licha, dobrze, że to przerwałam. To nie może się udać!

Ta ostatnia myśl była bolesna, ale, jak jej się zdawało, bardzo realistyczna. Zdecydowanym ruchem zdjęła z wieszaka popielatą, kaszmirową sukienkę z długim rękawem i bez dekoltu, może trochę za ciepłą na dziś, ale za to bardzo skromną, w której z całą pewnością nie będzie wyglądać frywolnie.

Zdenerwowana zeszła na dół. Po chwili pojawił się Daniel; włosy miał lekko wilgotne, a na jego twarzy gościł radosny uśmiech. Posłał Rosalie wesołe, zawiadające spojrzenie, lecz natychmiast spoważniał, widząc jej marsową minę.

– Wziąłem zimny prysznic – powiedział. – Czuję się znacznie lepiej. –

Obrzuciwszy wzrokiem jej strój, dodał: – Wiesz, ta sukienka wcale nie przypomina zgrzebnego worka. Zbyt niepokojąco opina twe biodra i piersi... – urwał raptem i zmienił temat: – Użyłem tego ręcznika, który leżał na stołku w łazience.

– W porządku – bąknęła, jakoś dziwnie zakłopotana jego swobodnym zachowaniem. Roztaczał wokół siebie atmosferę młodzieńczego triumfu, którego nie podzielała i nie rozumiała, sama bowiem czuła gorycz niedosytu i rezerwę podyktowaną zażenowaniem.

– Która to godzina? – spytał.

– Dochodzi siódma.

– No to jesteśmy już nieźle spóźnieni. Może damy spokój restauracji i zrobimy sobie piknik na plaży?

– Piknik na plaży? – powtórzyła jak echo.

– Czemu nie? Już ci to raz proponowałem. Czy ta ścieżka wzdłuż skał nie prowadzi przypadkiem do jakiejś zacisznej zatoczki?

– Tak, ale...

– Jest jeszcze całkiem jasno i ciepło. Zrobimy sobie sałatkę, a w tej knajpce niedaleko stąd kupimy rybę z frytkami.

Nie zdołała zaprotestować, bo już ciągnął ją do kuchni, by przyrządzić sałatkę. Usiłowała wczuć się w jego nastrój, ale był to wysiłek daremny. Nie potrafiła wykrzesać z siebie odrobiny entuzjazmu; jego zapał, witalność i energia płoszyły ją.

W milczeniu myli sałatę i kroili pomidory. Wreszcie Daniel przerwał niezręczną ciszę:

– Przypuszczam, że nie robisz takich rzeczy z Howardem?

– Nie.

– Ile on ma lat?

– Pięćdziesiąt trzy.

– Mógłby być moim ojcem.

– Ale nie moim.

– Wciąż cię dręczy, że jestem od ciebie młodszy?

– Czasami... Właściwie często.

– Naprawdę jesteś niemożliwa, Rosalie. Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje, nie słyszałaś o tym?

– Czasami czuję się, jakbym miała czterdzieści pięć – odparowała, mieszając

oliwę z octem na sos, choć miała szczerą ochotę rzucić to wszystko i, tak jak Daniel, zacząć przechadzać się po pokoju.

Zatrzymał się teraz, żeby popatrzeć jej w oczy.

– Czy tak właśnie się czujesz, gdy jesteś ze mną?

– spytał z naciskiem.

Po dłuższej chwili milczenia odrzekła:

– Nie, przy tobie nie, Danielu.

To wyznanie niemal na niej wymusił i miała tego świadomość. Uśmiechnął się z ponurą satysfakcją, ale charakterystyczna dlań energia i entuzjazm jakby nagle go opuściły. Byłoby prawdziwą ironią losu, pomyślała, gdyby udało jej się w końcu przekonać go, że różnica wieku między nimi miała jakieś znaczenie.

Kiedy skończyli przyrządzać sałatkę, spakowali plastikowe naczynia i wsiedli do samochodu.

– Co powiesz na butelkę wina? – zasugerował.

– Jeśli masz ochotę – odrzekła beznamiętnie.

– Do licha, nie możesz zdobyć się choć na odrobinę entuzjazmu? – wybuchnął. – W porządku, dajmy spokój z piknikiem! Pojedziemy do restauracji.

– Ależ... – usiłowała protestować.

– To nie był mądry pomysł. Przecież widzę, że wcale nie masz ochoty na piknik. Poza tym nie jesteśmy odpowiednio ubrani.

Stanowczo przeciął jej protesty i nagle zmienił kierunek jazdy.

Choć byli mocno spóźnieni, udało im się dostać bardzo intymny stolik oświetlony przyćmionym, żółtawym światłem, które nadawało opalonej twarzy Daniela ciepły odcień, a jego oczom tajemniczy blask. Rozmawiali na tematy obojętne, starając się skruszyć mur, który wyrósł między nimi dzisiejszego wieczoru.

Nie spałam z mężczyzną od czasu śmierci Mike'a, pomyślała podczas ciszy, która zapadła pod koniec kolacji. To było tak strasznie dawno. Poniosły mnie dzisiaj zmysły. To zbyt przerażające...

Zerknęła znad filiżanki z kawą na Daniela i spostrzegła, że wodzi rozmarzonym wzrokiem po jej szyi i piersiach.

– Pomyślałem – odezwał się wreszcie – że szkoda byłoby zmarnować przygotowane jedzenie. Jutro ma być ładna pogoda. Przyjadę po ciebie i pojedziemy na przylądek Tintagel. Tam, na plaży, nie opodal ruin starego zamku, zrobimy sobie piknik. Co ty na to?

– Brzmi cudownie – powiedziała z udawanym ożywieniem.

– Cieszę się, jeśli tak uważasz – odparł z miną pełną niedowierzania.

Pomyślała, że może lepiej byłoby przesunąć piknik na przyszły tydzień, tak by oboje zdążyli uspokoić się i wszystko przemyśleć, ale ostatecznie nie ośmieliła się wystąpić z tą propozycją.

W drodze powrotnej do domu z obawą myślała o pocałunku, którym zapewne ją pożegna. Bała się swej niekontrolowanej reakcji. Jednak gdy zatrzymał się przed furtką, nawet nie zgasił silnika.

– Nie będę wchodził – powiedział. Pocałunek, który nastąpił, był chłodny i pospieszny, taki, jakim zwykle obdarzał ją Howard. A mimo to poczuła drżenie.

– Wezmę koszyk z jedzeniem... – zająknęła się.

– Zostaw go w samochodzie. Sałatka wytrzyma. Przyjadę o dziesiątej, zgoda?

– Dobrze.

– A więc, dobranoc, Rosalie.

– Dobranoc.

– A co to? Czyta pani w pracy, siostró Jones?

– zagaił Daniel praktykantkę, siedzącą przy biurku na wprost dyżurki pielęgniarek, gdzie Rosalie zajęta była papierkową robotą.

Elise Jones uśmiechnęła się zalotnie i odparowała:

– Uczę się ze swoich notatek. To chyba nic złego?

– Oczywiście – odparł Daniel wyraźnie rozbawiony, kątem oka zerkając na Rosalie, która nadal ignorowała jego obecność. – A nie uważa pani, że znacznie lepiej postarać się o prywatnego nauczyciela?

– żartował dalej.

– Och! – roześmiała się Elise. – Ma pan na myśli prywatne lekcje z dobrze zapowiadającym się młodym specjalistą?

– Coś w tym stylu. – Roześmiał się również i odwrócił się do Rosalie.

W końcu na niego spojrzała. Widzieli się po raz pierwszy od nieudanego pikniku na przylądku Tintagel.

– Dlaczego jesteś zła, Rosalie? – powiedział stłumionym szeptem, zbliżając się do jej biurka.

– Wcale nie jestem zła – odrzekła normalnym tonem, bo Elise opuściła już swój

posterunek na korytarzu.

– Ależ jesteś. Na Elise, na mnie, na wszystko. Mam nadzieję, że to nie zazdrość?
– dodał półzartem.

– Oczywiście, że nie! – rzuciła sztywno, a on odwrócił się zniecierpliwiony.

W sobotę obydwójce byli rozczarowani. Spędziwszy poranek na włóczędce po zamkowych ruinach, siedzieli w ciepłym słońcu na osłoniętej plaży i usiłowali wymienić wrażenia, ale rozmowa się nie kleiła.

– Co się stało, Rosalie? – spytał, przerywając niezręczną ciszę. – Czy to z powodu wczorajszego dnia?

– N... nie wiem.

– Posłuchaj, mogę z tym poczekać – powiedział łagodnie i dodał niskim głosem: – Do licha, niezbyt długo, ale... ale przecież nie rzucę się dziś na ciebie, jeśli tego się obawiasz.

Pragnął, by zabrzmiało to uspokajająco, ale wcale tak się nie stało i sam nie wiedział, dlaczego. Siedziała nadal w milczeniu, a on nie potrafił znaleźć właściwych słów. Chciał ją dotykać, trzymać w swych ramionach; chciał, by leżeli wsłuchani w szum fal i porozumiewali się bez słów, ale rozsądek nakazywał mu trzymać się na wodzy, bo ona najwyraźniej tego nie pragnęła.

Czuł się bezradny i owa bezradność, do której nie przywykł, złościła go. Co się właściwie stało? Jeszcze wczoraj sądził, że ich wzajemne stosunki osiągnęły takie napięcie – nie tylko pod względem fizycznym, ale również emocjonalnym i psychicznym – że wszystko powinno się udać. Dziś nie był już tego tak bardzo pewien i te wątpliwości psuły mu humor.

Jakimże był głupcem naiwnie przypuszczając, że Rosalie pod wpływem jego gwałtownych zalotów zerwie przyjaźń z Howardem Trevalleyem! Zgubiła go zbyt pewność siebie i arogancja. Rosalie nadal spotykała się z Howardem. Zaczął nawet obserwować Trevalleya. Usiłował spojrzeć nań oczami Rosalie i wyciągnął wielce niepokojące wnioski. Howard Trevalley miał pozycję, stanowisko, był niezawodny, słowem – zapewniał kobiecie poczucie bezpieczeństwa. Czy to się liczyło dla Rosalie? Nie potrafił odgadnąć i nie potrafił się dowiedzieć.

Rosalie podniosła wzrok znad biurka. Daniel nadal tam stał i patrzył na nią z nachmurzoną miną.

– Właśnie zrobiłem Rayowi Thompsonowi koronarografię – zmienił temat. – Pomyślałem, że zainteresują cię wyniki.

– Oczywiście.

– Pień główny lewej tętnicy wieńcowej jest w porządku, ale trzy naczynia są

częściowo niedrożne: gałąź międzykomorowa przednia w osiemdziesięciu pięciu procentach, tylna w osiemdziesięciu, a okalająca w sześćdziesięciu. Wydolność serca jednak jest dobra i myślę, że może obejść się bez operacji. Porozmawiam z Trevalleyem.

– Howard... to znaczy – poprawiła się – doktor Trevalley badał dziś rano pacjenta i powiedział mi prywatnie, że po zapoznaniu się z historią choroby oraz wynikami próby potasowej już zapisał go na swoją jutrzejszą listę.

– Niemożliwe!

– Tak – powiedziała z naciskiem.

– A więc bitwa, której się zresztą spodziewałem! Za kilka minut mam się tu z nim spotkać. Dziękuję, że mnie uprzedziłaś. Przynajmniej wiem, na czym stoję.

I niebawem między doktorem Canadayem i Trevalleyem wywiązał się gwałtowny spór. Spotkali się przy łóżku pana Thompsona, a potem przeszli do małego pokoju konferencyjnego naprzeciwko dyżurki pielęgniarek. Jakkolwiek szklane drzwi były niemal dźwiękoszczelne, do uszu Rosalie dochodził szmer podniesionych głosów. Przez szybę widziała, że rozgniewani gwałtownie gestykują.

Daniel powinien uważać. Ostatecznie Howard był jego przełożonym i zajmował wysoką pozycję w szpitalnej hierarchii. Ale Howard też powinien być ostrożniejszy. Lekarz, który nie potrafił zachować elastycznej postawy i wysłuchać argumentów młodszego kolegi, narażał swój autorytet na szwank.

Minął dobry kwadrans, nim skończyli. Daniel wyszedł pierwszy. Rosalie nie widziała jego twarzy. Energicznym krokiem opuścił oddział, nie wiadomo – zły czy ukontentowany. Chwilę później pojawił się Howard; zerknął w stronę dyżurki i widząc, że Rosalie jest sama, podszedł do niej pospiesznie.

– Właśnie utarto mi nosa – powiedział bez złości, a Rosalie odetchnęła z ulgą. Wszystko w porządku! Nie zdążyła się zastanowić, o kogo obawiała się bardziej. – Nie będę jutro operował Thompsona. Skreśl go z listy.

– A więc zgodziłeś się z Canadayem? – odważyła się spytać.

– A jaki miałem wybór? – roześmiał się. – Zarzucił mnie nieskończoną ilością naukowych argumentów prosto z Ameryki! Można by sądzić, że nasi przyjaciele zza oceanu zajmują się głównie obserwacją pacjentów po operacjach na otwartym sercu. Tak czy owak, lubię tego młodego człowieka! – zakończył niespodziewanie. – Nawet bardzo! Właściwie... – rozejrzał się uważnie po korytarzu i pochylił konfidencjonalnie nad biurkiem Rosalie – chciałbym cię wciągnąć w mały spisek. Zgodzisz się?

– Oczywiście – obiecała bez zastanowienia.

– Myślę, że Canaday byłby znakomitą partią dla Cathy – wyszeptał poufnym tonem. – Ma w sobie tyle dynamizmu i taką siłę przebicia. Wiesz, Cathy uroiła sobie, że zostanie lekarzem ogólnym i zaszyje się w jakiejś zapadłej dziurze. Walia... tak, ostatnio chyba stawia na Walię. W każdym razie pomysł pożałuj Boże! Ale myślę, że człowiek o takiej ambicji jak Canaday... No, a poza tym jest niezwykle przystojny. Przynajmniej tak uważają młodsze pielęgniarki. Widzę to po ich twarzach.

– Ile... ile lat ma twoja córka? – spytała Rosalie ogłuszona potokiem słów, które musiała wysłuchać.

– Dwadzieścia sześć. Najwyższy czas, by zaczęła robić specjalizację. On ma pewnie koło trzydziestki. Wspaniale się składa! Zamierzam zorganizować małe śniadanko w restauracji w niedzielę. Powinnaś wreszcie poznać Cathy. Och – zniżył głos jeszcze bardziej – byłem zły z powodu ostatniego piątku. Brakowało mi naszego wspólnego wieczoru.

– Rozumiem – przytaknęła beznamiętnie.

– Musimy się tylko upewnić... W każdym razie liczę na to, że masz czas w niedzielę. Cathy zna rozmaite modne lokale – ostatnie dwa słowa wypowiedział z lekkim zakłopotaniem. – A więc znasz już Canadaya i chcesz poznać Cathy – planował podniecony. – W ten sposób zamaskuję fakt, że mam wobec nich własne plany!

– Miło mi będzie poznać twoją córkę – zdołała ledwie wykrztusić, a Howard uśmiechnął się zadowolony.

– A zatem postanowione. Przyjadę po ciebie o dziesiątej, zgoda?

– Będę czekać.

Rozdział 6

W sobotę, w porze odwiedzin, na oddziale kardiologicznym zawsze było pełno gości. Rosalie nie miała nic przeciwko wizytom. Zawsze uważała, że przynoszą one pacjentom o wiele więcej przyjemności niż zmęczenia.

Beverly Moore natomiast odwiedziny wyraźnie przeszkadzały, zwłaszcza w sobotę wieczór.

– Już za pięć minut będziemy mogli zacząć ich wypraszać – powiedziała z wyraźną radością.

Pięć minut szybko minęło i większość gości dobrowolnie opuszczała oddział, ale Beverly i tak nie omieszkła pospieszać maruderów. Wkrótce pozostało tylko kilka osób, spragnionych bardziej intymnej rozmowy.

Pani Joan Thompson siedziała jeszcze przy łóżku swego męża. Rosalie uśmiechnęła się przyjaźnie i pozdrowiła ją, gdy przysłała do pokoju na wezwanie pana Fenstowe'a, który naciskał niecierpliwie dzwonek.

– Mam zimne stopy – skonstatował. – Proszę sobie wyobrazić, że jest mi zimno. Czy mogę dostać dodatkowy koc?

Przemawiał zadziornie, jakby z góry przygotowany na odmowę. Ale, oczywiście, stało się zadość jego życzeniu. Rosalie sięgnęła do dolnej szuflady szafki, stojącej obok jego łóżka, skąd wyjęła puszysty, wełniany koc. Uśmiechnęła się w duchu. Pan Fenstowe aż do dzisiaj nosił ciepłą, flanelową piżamę, ale jego żona obdarowała go właśnie wspianiałą, nową piżamą z cienkiej bawełny w jaskrawy wzór, ale za to z krótkim rękawem i nogawkami. Nic więc dziwnego, że było mu zimno.

Gdy owijała nogi pana Fenstowe'a w koc, przypadkiem podsłuchiwała rozmowę państwa Thompsonów.

– Muszę ci coś powiedzieć, kochanie – mówiła zażywna jejmość. – Nie chciałam o tym mówić przy innych gościach.

– Słucham cię, Joan. .

– Mam nadzieję, że nie osądzisz mnie źle.

– Co takiego zrobiłaś?

– Wiesz, myślałam i myślałam, i w końcu zdecydowałam, że tego nie zrobię i nagle dzisiaj... On wyglądał już tak mizernie, biedaczek.

– Cóżeś zrobiła, kobieto?! – wybuchnął pan Thompson.

– Po prostu pomyślałam...

– Co zrobiłaś? – Miał czerwoną twarz i chyba dopiero teraz pani Thompson uświadomiła sobie, że człowieka chorego na serce nie powinna niepotrzebnie denerwować, ale było już za późno, by się wycofać, więc powiedziała z rezygnacją:

– Uśpiłam Rufusa.

– Ty... co?! O Boże! A więc jest już za późno! Rufus odszedł.

Był wstrząśnięty i zły. Nawet pan Fenstowe przestał zawracać głowę kocem i patrzył przerażony na swego kolegę z sali. Rosalie na widok purpurowej twarzy pana Thompsona zaniepokoiła się nie na żarty, ale nim zdążyła podejść, by go uspokoić, stało się.

Jego nabrzmiałą twarz wykrzywił paroksyzm bólu, próbował jeszcze unieść ciało, by złapać oddech, a rękę zaciskał konwulsyjnie na piersi.

Rosalie, nie czekając dłużej, pobiegła do telefonu w dyżurce i jednym naciśnięciem guzika przywołała ekipę ratunkową. Teraz musiała przygotować sprzęt. Na oddziale intensywnej terapii wszyscy pacjenci podłączeni byli na stałe do elektrokardiografów. Tutaj, na kardiologii, stan pacjentów na ogół tego nie wymagał. Jednak w sytuacjach krytycznych, takich jak dzisiejsza, należało natychmiast ustawić przy łóżku pacjenta aparat do badania pracy serca i na wszelki wypadek defibrylator.

Następne pół godziny było koszmarem. Serce pana Thompsona przestało bić. Zielona linia na monitorze biegła złowieszczo płasko. Do klatki piersiowej pacjenta przyłożono elektrody i prąd elektryczny raz po raz wstrząsał jego ciałem, by przywrócić mu serce do życia. Bez rezultatu. Pani Thompson jęczała i załamywała rękę.

– Jeszcze raz! – rozkazywał doktor Canaday. – I przygotować się do intubacji! Tlen!

Ale nim przystąpiono do intubacji, linia elektrokardiogramu drgnęła, poruszyła się, potem znów zatrzymała się i znów zachwiała, by w końcu pobiec zygzakowatym, normalnym rytmem.

Wkrótce potem ekipa ratunkowa opuściła salę. Daniel Canaday pozostał.

Pacjent, blady jak ściana, otworzył oczy i popatrzył nieprzytomnie na sprzęt i na swoją żonę.

– Co się stało? – Miał bardzo słaby głos. – Odczuwałem potworny ból, który teraz ustąpił. Czy to... ?

– Tak, miał pan zawał – zakomunikował Daniel bez ogródek. – Już po wszystkim. Serce bije normalnie.

– Ale... Joan, o czym to mi opowiadałaś? Jakaś wiadomość...

– Wiadomość? – spytał Daniel, odwracając się do pani Thompson.

– Już wiem – powiedział pan Thompson, wciąż bardzo słabym głosem. – Rufus...

– Och, Ray, tak mi przykro. – Nagle pani Thompson załapała się łzami, rozładowując w ten sposób napięcie ostatniej półgodziny. – Wiem, nie powinnam tego zrobić bez uzgodnienia z tobą. Ale dziś w nocy prawie nie spałam i kiedy rano zobaczyłam, że trzy razy zwymiotował, biedne stare psisko, a poza tym miał te okropne rany na karku... To był koniec. Zadzwoiłam po weterynarza, powiedział, że to będzie zupełnie bezbolesne.

Daniel stał zniecierpliwiony i już chciał położyć kres tej, jego zdaniem, zbyt długiej i obciążającej pacjenta konwersacji, ale Rosalie wymownym wzrokiem nakazała mu milczenie.

Pani Thompson zakończyła swój monolog i patrzyła teraz błagalnie na męża. Ten dłuższą chwilę się nie odzywał. Nadal był bardzo blady. Rosalie zaczęła się zastanawiać, czy powinna pozwolić im na omawianie właśnie teraz tej drażliwej kwestii.

Pan Thompson rozwiął jednak jej wątpliwości.

– Postąpiłaś słusznie, kochanie – zwrócił się do żony. – Oddychał jeszcze z trudnością i mówił nie bez wysiłku, ale bladość twarzy zaczynała powoli ustępować. – Byłoby lepiej, gdybyś porozmawiała o tym najpierw ze mną, ale cóż... Rozumiem cię. Dobrze, że nim tu trafiłem, zdążyłem się z nim należycie pożegnać.

Kiedy nadal rozmawiali o ukochanym psie, Daniel odciągnął Rosalie na stronę.

– Wiadomość o śmierci psa wywołała atak? – zapytał.

– Chyba tak.

– To dobrze, że daliśmy im o tym porozmawiać. Będzie miał spokojniejszą noc.

– Może wezmę nocny dyżur, żeby...

– No to będziesz wykończona na przyjęciu Howarda!

Do tej pory nie rozmawiali o tym spotkaniu. Rosalie nawet nie była pewna, czy wiedział, kogo tam pozna.

– Z przyjemnością poznam Cathy Trevalley – wyjaśnił, jakby czytając w jej myślach. – A ty?

– Och, oczywiście – odparła bez przekonania. Nie wiedziała, jak powinna interpretować jego słowa.

– Dziś nie powinno już być problemów z panem Thompsonem. Przyczyną zawału musiał być skurcz tętnic. A więc wyszło na Trevalleya. Trzeba będzie przeprowadzić operację. Nie możemy ryzykować następnego takiego ataku. Jego tętnice teoretycznie

są wystarczająco drożne, ale skoro kurczą się aż tak... – Na jego zazwyczaj ożywionej twarzy malowało się teraz zmęczenie i porażka.

Rosalie wiedziona impulsem wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Obwiniasz się, prawda?

– Tak.

– Ale przecież...

– Och, wiem. To nie ma nic wspólnego z logiką, po prostu tak czuję.

Poczuła się odtrącona, gdy delikatnie odsunął jej rękę. Zwalczywszy chwilową słabość i zwątpienie, wydał szczegółowe polecenia dotyczące opieki nad panem Thompsonem, po czym szybko opuścił pokój.

Przez resztę wieczoru stan pana Thompsona nie uległ pogorszeniu i Rosalie mogła wyjść dokładnie o jedenastej, przekazawszy nocnej zmianie szczegółowe zalecenia. Gdy obudziła się nad ranem, zadzwoniła na oddział i dowiedziała się, że stan pacjenta jest zadowalający.

Nie spała zbyt dobrze tej nocy. Nerwowo obudziła się o siódmej i przez następne pół godziny wierciła się niespokojnie w łóżku, bezskutecznie usiłując ponownie zasnąć. W końcu wstała, zdecydowana popracować w ogródku.

Ostatnio zaniedbała go ogromnie, a widomą przyczyną tego stanu rzeczy był Daniel. Wiele godzin, które mogła pożytecznie spędzić wśród sadzonek i kwiatów, zmarnowała na niespokojnych wędrówkach ścieżką wśród skał lub próżniaczym wylegiwaniu się na leżaku. W zeszłym tygodniu zmusiła się, co prawda, do wypielenia chwastów, ale uczyniła to wyłącznie z palącej potrzeby udowodnienia sobie, że życie będzie toczyło się dalej normalnym rytmem, gdy już ta krótka, gwałtowna namiętność wygaśnie.

Tak, nie powinna się łudzić. Napięcie i skrępowanie podczas ostatniego weekendu zapowiadały nieuchronność końca i oczekiwała go, prawie pragnęła, aby wreszcie nadszedł. Będzie mogła wrócić wówczas do normalnego życia.

Howard przyjechał punktualnie o dziesiątej, a ona czekała już, ubrana w kwiecistą spódniczkę i morelową, bawełnianą bluzkę. Podczas jazdy był wyraźnie podekscytowany.

– Nigdy nic podobnego nie robiłem – mówił.

– Masz na myśli to przyjęcie? – spytała w zamyśleniu; zastanawiała się właśnie nad wczorajszą, zwodniczo uprzejmą wzmianką Daniela o Cathy Trevalley. Czy oczekiwał dzisiejszego spotkania z niecierpliwością?

– Nie! – Howard wybuchnął śmiechem. – Mam na myśli swaty! To raczej domena

kobiet – dodał lekko zakłopotany rolą, jaką przyszło mu odegrać. – Lepiej, jak zdam się na ciebie.

– Nie bardzo rozumiem. – Była wyraźnie zirytowana.

– Och, sama wiesz. Kobiety mają swoje sposoby. Musisz tylko nadmienić coś o Canadayu, o jego pracy, że jest świetnym lekarzem... To powinno podziałać na Cathy.

– Muszę? – Jej irytacja rosła.

– Tak! Och – westchnął – mam nadzieję, że miałem dobry pomysł z tym przyjęciem. Odkąd Helen nie żyje, wszystko wydaje mi się takie trudne. Nie bardzo potrafię rozmawiać z Cathy, dotrzeć do jej serca. Helen była w tym niezrównana.

Zamilkł, a Rosalie ogarnęła nagła fala wyrzutów sumienia i współczucia. Biedny Howard! Był żonaty z Helen blisko trzydzieści lat i, podobnie jak wielu mężczyzn jego pokolenia, pozostawiał wszystkie towarzyskie i osobiste sprawy w subtelnych rękach swej żony. Teraz sprawiał wrażenie bezbronnego dziecka. Nie powinna go winić, że czasem brakowało mu taktu, gdy starał się sprostać nowym zadaniom. Doszła do wniosku, iż potrafi mu wybaczyć niezręczność, biorąc pod uwagę motywy jego zachowania, i niespodziewanie postanowiła, że postara się mu pomóc dziś rano. Spełni jego oczekiwania; będzie serdeczna i miła dla Cathy, nawet jeśli dziewczyna nie przypadnie jej do serca. A Daniel... Daniel potrafi sam zatroszczyć się o siebie.

Cathy i Daniel czekali już na nich w zacisznym ogródku, na tyłach restauracji. Stolik znajdował się w półcieniu, pod zwisającą akacją. Tylko serweta oślepiła bielą w promieniach ostrego, porannego słońca.

– O Boże, czyżbyśmy się spóźnili? – spytał Howard z udanym przerażeniem, po czym dokonał prezentacji, zbędnej w przypadku Cathy i Daniela, ponieważ zdawali się nawiązać już przyjacielską znajomość.

Przystojny, młody kelner przyniósł karty i Rosalie głodnym wzrokiem studiowała smakowite opisy dań. Dwie poranne godziny spędzone o pustym żołądku w ogrodzie przyprawiły ją o nie lada apetyt. Wędzony łosoś, aromatyczne bułeczki, owoce, sery... Wszystko wyglądało nęcąco.

– Dla mnie jajka a la Benedykt, kawa, sok pomarańczowy – zaczął Howard. – A państwo?

– Poproszę o talerz serów i sałatę – powiedziała Cathy. – I kieliszek chablis.

– Dla mnie łosoś i sałatki – oznajmił Daniel. – I również chablis. – Spojrzał z uznaniem na Cathy i uśmiechnął się szeroko, trochę figlarnie, czego Rosalie nie omieszkała zauważyć.

Cathy odwzajemniła uśmiech. Była blondynką o piegowatym nosku i policzkach. Rosalie nie tak ją sobie wyobrażała, chociaż na dobrą sprawę właściwie w ogóle nie

wyobrażała sobie córki Howarda Trevalleya przed tym spotkaniem.

– Och – bąknął Howard – widzę, że potraktowaliście ten posiłek jak lunch.

– Ja też zjem jajka – wtrąciła szybko Rosalie. – I również poproszę o kawę i sok pomarańczowy.

W gruncie rzeczy wcale nie miała ochoty na jajka, ale jej wybór sprawił Howardowi wyraźną przyjemność, tak jak się spodziewała. Siedział teraz zadowolony i rozluźniony.

– Całe wieki nie jadłem jajek a la Benedykt – wyznał z rozbijającą otwartością.

– Ślinka cieknie na samą myśl – przyznała Rosalie.

Dobór dań podzielił towarzystwo jakby na dwa obozy. Daniel zaczął rozmawiać z Cathy na temat jej planów zawodowych, a Howard i Rosalie słuchali niczym pobłażliwi, potakujący rodzice.

– Chcę pracować jako lekarz domowy i prowadzić pacjentów od kolebki – mówiła Cathy, a Daniel kiwał głową ze zrozumieniem. – Wiem, że to brzmi trochę staromodnie...

– Och, wcale tak nie uważam – obruszył się Daniel. – Być może stanowisz awangardę w powrocie do starych, wypróbowanych metod w medycynie, do traktowania pacjenta kompleksowo, tak jak na ogół czynią to weterynarze.

– To bardzo interesujące porównanie – podchwyciła Cathy. – Czasami mam wrażenie, że weterynarze traktują swych pacjentów bardziej po ludzku niż współcześni lekarze. Przynajmniej weterynarz... weterynarze, których znam osobiście.

– Nigdy nie rozmawiałaś ze mną tak szczerze, Catherine – wtrącił Howard.

– Nie dałeś mi szansy, tato – odparła zuchwale, uśmiechając się rozbijająco.

– Doprawdy? Och, cóż, myślę, że... – urwał niepewnie i Rosalie raz jeszcze pospieszyła mu w sukurs.

– Twoje plany na przyszłość zapewne są całkiem nowe, nieprawdaż Cathy? – spytała przyjaznym tonem. – Być może po raz pierwszy ujawniłaś je właśnie teraz.

– Tak. Chyba Danielowi udało się po prostu trafić w sedno pytaniami. – Znowu posłała kardiologowi czarujący uśmiech.

Rosalie zauważyła, że Howard z trudnością ukrywał zadowolenie. Miał minę, jakby chciał powiedzieć: „Dobra robota! Wszystko idzie jak z płatka!”.

Przyniesiono potrawy. Rosalie jadła swoją bez apetytu, walcząc z narastającym przygnębieniem. Właściwie o co jej chodziło? Nie mogła zrozumieć. Był przecież cudowny poranek; kwitnący klematis, który piał się po kamiennym murze

otaczającym ogródek, roztaczał słodką, subtelną woń. Jajka a la Benedykt okazały się wyśmienite, nawet jeśli niezupełnie miała na nie ochotę. Konwersacja toczyła się gładko. O co więc chodziło?

Czuję się staro, zdała sobie sprawę. Zostałam dziś przypisana Howardowi i czuję się, jakbym miała pięćdziesiątkę. A Daniel i Cathy są młodzi! Och, nawet nie w tym rzecz, że on z nią flirtuje. A zresztą, pomyślała przekornie, ma do tego całkowite prawo. Jestem tu z Howardem. Cathy to urocza dziewczyna. Dobrze wyglądają razem.

– Muszę mieszkać tam, gdzie mogę jeździć konno – mówiła Cathy. – I muszę mieć czas na jazdę. W czasie studiów to było prawie niemożliwe. Omal nie zwariowałam. A teraz, gdybym miała siedzieć w szpitalu dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo... Nie, to nie dla mnie!

– Nie przesadzaj, Cathy – zaprotestował Howard.

– Czy ja pracuję tyle godzin? Albo pan, Danielu?

– Właściwie spędzam w szpitalu niemal siedemdziesiąt godzin na tydzień, a czasem i więcej – przyznał kardiolog.

– Tato – wyjaśniła Cathy poważnym tonem – gdybym chciała robić specjalizację, musiałabym tyle czasu pracować. Jestem zdolna – wyznała otwarcie – ale nie genialna. Trzeba być bardzo utalentowanym, by zrobić specjalizację z sukcesem i trzeba mieć dużo samozaparciu. Ja nie mam takiej siły woli!

– A więc – wtrącił Daniel – podejmujesz słuszną decyzję. Przykro mi – uśmiechnął się przepraszająco do starszego chirurga. – Moje opinie zapewne się panu nie podobają.

– Ależ skądże! Nic podobnego – odparł niespodziewanie Howard.

On naprawdę ma nadzieję, że oni się w sobie zakochają, pomyślała Rosalie.

– W ciągu jednego poranka dzięki panu, Danielu, dowiedziałem się więcej o swojej córce – ciągnął Howard – niż przez ostatnie lata. To zapewne różnica pokoleń – uśmiechnął się do Rosalie znacząco.

– Uważaj na kawę! – wtrąciła szybko, gdy nieostroźnie zbliżył nadgarstek w śnieżnobiałej koszuli do pełnej filiżanki.

– Och, dziękuję. – Przetawił filiżankę w bezpieczne miejsce, a Rosalie dźwięczały echem w głowie jej własne słowa. Zachowała się jak uważająca na wszystko, zapobiegliwa żona.

Poczowała złość na Daniela. Czy musiał tak ochoczo przystać na plan Howarda? Trevalley nie był urodzonym dyplomatą i nietrudno było go przejrzyć; rzucało się w oczy, że niemal prosił Daniela o rozważenie kandydatury Cathy na przyszłą żonę. I

teraz Daniel flirtował z nią w najlepsze!

Wreszcie posiłek dobiegł końca.

– Muszę zawieźć Rosalie do domu – oznajmił Howard i dodał z nie ukrywaną nadzieją w głosie: – Nie opodal jest piękny park, może macie ochotę się przejść...

Cathy i Daniel odpowiedzieli niezobowiązująco. W końcu Rosalie z Howardem odjechali nie wiedząc, czy młodzi spędzą razem poranek.

– Wszystko poszło znakomicie – pochwalił się chirurg, gdy siedział obok Rosalie w samochodzie.

– Tak, chociaż Cathy podjęła już chyba decyzję zostania lekarką domową.

– Och, ona jest bardziej zdolna i ambitna, niż myśli – oświadczył stanowczo Howard. – Z takim mężczyzną jak Canaday, który by jej pomógł, zdopingował, z łatwością mogłaby zostać kardiologiem.

– A to jest twoim najgorętszym pragnieniem, prawda? – Uśmiechnęła się sarkastycznie. – Córka kardiolog albo przynajmniej zięć?

Roześmiał się głośno.

– Obydwoje!

Kiedy podjechali pod dom, Rosalie wahała się przez moment, czy zaprosić Howarda do środka. Miała już zaproszenie na końcu języka, ale ostatecznie zrezygnowała.

– Dziękuję, Howardzie – powiedziała po prostu.

– Było bardzo miło.

Gdy jednak znalazła się w domu sama, pożałowała nagle swej decyzji; dom był cichy, pusty, a ją czekał nieskończenie samotny i długi dzień. Oczywiście mogła popracować w ogródku albo oddać się innym zaległym pracom domowym, ale jakoś nie miała ochoty. Zapragnęła ukoić wewnętrzny niepokój długim spacerem wśród skał.

Przebrała się szybko w wygodne, dzinsowe szorty, porwała słomkowy kapelusz i wymachując nim niedbale, pomaszerowała ubitą ścieżką wśród pól. Gorące słońce paliło jej skórę, a letnie trawy wydawały słodki, aromatyczny zapach. Na skałach zaś wiał ostry, rześki wietrzyk. Głęboko wdychała ożywcze, morskie powietrze i szybko zmierzała przed siebie, gdy nagle dobiegł ją z tyłu odgłos kroków, a potem czyjaś ręka chwyciła za ramię.

Z westchnieniem pełnym przerażenia odwróciła się. To był Daniel.

– Mój Boże, potrafisz fruwać! – powiedział. – Już dziesięć minut biegnę za tobą jak chart!

Wcale nie był zdyszany. Uśmiechał się przyjaźnie, a kosmyki czarnych, trochę przydługich włosów smagały mu kark. Rosalie, zmieszana, bezwiednie zawiązała wstążkę kapelusza pod szyją, ale Daniel natychmiast ją rozwiązał, przelotnie muskając palcami jej rozwiane włosy, a potem nieoczekiwanie dotknął jej warg krótkim, gorącym pocałunkiem.

– Czaiłem się jak szpieg – powiedział. – Musiałem się upewnić, że Howard odjechał. Nie miałem odwagi przyjechać na twoją ulicę. Dopiero później, z oddali, zobaczyłem, że jesteś tu sama, więc zaparkowałem i oto dogoniłem cię.

– Dlaczego przyjechałeś? – spytała z udawaną obojętnością. Nie mogła się przyznać, jak bardzo była szczęśliwa.

– Właściwie, aby cię zbesztać.

– Zbesztać?

– Tak, za przy pochlebianie się Howardowi dziś rano.

– Ja mu się przypochlebiałam! – oburzyła się. – A co z tobą i Cathy?

Wyglądał na zdziwionego.

– Cathy jest miła. Od razu ją polubiłem. Potrzebuje stronnika przeciw swemu ojcu. – Mówił takim tonem, że nagle poczuła przyływ ciepłych uczuć do Howarda i twarz jej przygasła. – Ej, o co chodzi? – spytał zdziwiony jej niemą reakcją.

– O nic. – Nie chciała mówić o swych uczuciach, o swych porannych wątpliwościach. Wszystko to brzmiałoby śmiesznie.

– O nic? – powtórzył jak echo. – A więc w porządku.

Nie podtrzymał tematu. Złapał ją za rękę i pomknęli ścieżką na oślep przed siebie. Jak żądne przygód dzieci prawie godzinę penetrowali pobliskie zatoczki i cypły. Zawrócili w stronę domu zmęczeni, wysmagani wiatrem i głodni jak wilki.

– Zaprosisz mnie na przekąskę? – spytał zuchwale, gdy dom był już w polu widzenia.

Widziała zaparkowany przed domem biały samochód Daniela i teraz była ogromnie zadowolona, że nie zaprosiła Howarda.

– Jeśli jesteś głodny... – odpowiedziała z rezerwą.

Gdy weszli do środka, Rosalie wbiegła najpierw na górę, by rozczesać zmierzwione włosy. Stała przed lustrem ze szczotką w ręku, oszołomiona swym własnym widokiem. Czyżby to wiatr nadał taki kolor jej policzkom i taki błysk oczom?

Usłyszała za sobą jakiś ruch i odwróciła się. Daniel stał wsparty o framugę drzwi i przyglądał jej się zafascynowany. Uśmiechnął się zalotnie, widząc jej przestraszoną

minę. I nagle wezbrała w niej złość, ogromna złość, którą od rana powstrzymywała.

– Co robisz, Danielu? – spytała niechętnie.

– Patrzę na ciebie.

– To widzę. Dlaczego na mnie tak patrzysz?

– Czy to nie oczywiste?

– Na litość boską! – Nie próbowała się kontrolować. Drżała, a głos jej był ochryply z gniewu. – Jeszcze trzy godziny temu jawnie flirtowałeś z Cathy! Zupełnie jakbyś przypisywał mi rolę swojej teściowej. Czego teraz oczekujesz?

– Niczego nie oczekuję. A czego ty oczekiwałaś dziś rano? Miałem zachować się tak, jak zachowujemy się, gdy jesteśmy sami? Czy tak? – Stał teraz blisko niej; czuła jego oddech na swoich włosach. – Pragniemy się stale dotykać – mówił namiętnym szeptem.

– Chciwie łowimy każde słowo, często nie możemy dokończyć zdań, ponieważ...

– Ale...

– O co naprawdę chodzi, Rosalie? Ostatnio byłaś...

– Ostatnio byłam realistką – dokończyła twardym głosem.

– Realistką? Co to ma znaczyć?

Zapadło milczenie – bolesne, długie milczenie, nabrzmiałe ich wzajemnym pożądaniem.

– Nadszedł czas – wykrztusiła wreszcie Rosalie – aby z tym skończyć. Próbowałam spojrzeć w przyszłość i widzę, że czekają nas tylko kłopoty, a może i ból. Czy stanie się to w przyszłym tygodniu, czy w przyszłym miesiącu...

Drżącym z emocji głosem wyjąkała słowa, których wcale nie zamierzała powiedzieć. Wyjawiała wszystkie nękające ją wątpliwości i teraz pragnęła, by jej zaprzeczył. Tak, pragnęła, by wziął ją w ramiona, pocałował, zaprzeczył namiętnie wszystkiemu, co powiedziała, wyjaśnił jej, że się myli, ponieważ on ją kocha i... znajdą sposób, aby wszystko się udało.

Ale on tego nie zrobił.

– W porządku – zgodził się opanowanym tonem. – Owszem, były problemy. Wydaje mi się, że wszystko przemyślałaś. Nie podejrzewałem, że będziesz się aż tak bała. Nie ma o czym mówić. Chyba wszystko już zostało powiedziane.

– Tak. Będzie lepiej, jeśli...

– Wyjdę? – Uniósł brew. – Trudno, abym w tych okolicznościach został, nieprawdaż?

– Masz rację – wymamrotała, boleśnie dotknięta jego tonem.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy, a potem on odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Dobre maniery nakazywały, by go odprowadziła. Zeszła więc za nim po schodach.

Zauważył ją za sobą dopiero w drzwiach. Odwracał się właśnie, aby je zamknąć i gdy znów stanęli blisko siebie, odsunął się niemal z sykiem. Wiedziała, dlaczego. Nawet teraz czuli magnetyczną siłę przyciągania. I to właśnie był największy problem, przyznała w duchu z rezygnacją.

Rozdział 7

– Siostrzo Crane, siostrzo Moore, chciałbym przedstawić paniom moją córkę, doktor Cathy Trevalley.

Rosalie stłumiła uśmiech słysząc, z jaką dumą w głosie Howard wymówił słowo „doktor”. Stłumiła również irytację, chwilę przedtem bowiem Cathy uśmiechnęła się do niej i powiedziała ukradkiem: „Przepraszam, że nie traktuję cię przyjacielsko, ale ojciec prosił, byśmy udawały, że się nie znamy”.

Pomysł jakże typowy dla Howarda! Rosalie zgodziła się bez oporów i nawet nie zdradziła zaskoczenia. Cathy wykrzywiła lekko usta, jakby mówiąc: „Te pomysły taty są śmieszne!”. Rosalie nie odważyła się zrobić porozumiewawczej miny. Byłoby to nielojalne w stosunku do Howarda, a ona nie powinna go krytykować. Zwłaszcza teraz, gdy postanowiła, że wyjdzie za niego za mąż, jeśli ją o to poprosi.

Od bolesnego zerwania z Danielem Canadayem minął tydzień. Był to jednak bardzo długi tydzień i prawie bezsenny. Każdej nocy Rosalie biła się z myślami, czy postąpiła słusznie, i każdej nocy, zapadając w niespokojną drzemkę, powtarzała sobie, że tak. Nadszedł czas, aby stworzyła bezpieczny, stabilny związek z mężczyzną odpowiednim – takim, na widok którego nie dostawała zawrotu głowy.

Powinna wreszcie sprowokować Howarda, by spędzili wspólnie weekend, o czym kiedyś napomknął. Powinna działać zdecydowanie i z większą szczerością; powinna wyznaczyć datę i zmusić Howarda, by zapisał ją w kalendarzu! Dość udawania i hipokryzji, że nic ich nie łączy poza wspólną pracą.

Teraz jednak nie był to właściwy moment na bunt.

– Miło mi panią poznać – odezwała się konwencjonalnie do Cathy.

– Moja córka interesuje się kardiologią – powiedział Howard, ignorując nieme sprzeciw Cathy. – Zanim podejmie praktykę ogólną w Walii, spędzi tu z nami w szpitalu kilkanaście dni. Zarówno ja sam, jak i doktor Canaday będziemy ją wtajemniczać w arkana naszej specjalizacji. Jestem pewien, że panie nam pomogą. A teraz Cathy...

Wziął córkę pod rękę i razem poszli zrobić obchód oddziału. Rosalie z udawanym spokojem zabrała się do swojej pracy. A więc czekało ją teraz ciągle przyglądanie się, jak Daniel i Cathy zacieśniają więzy przyjaźni!

Daniel pojawił się, gdy porządkowała papiery.

– Przeniosłem tu z powrotem Raya Thompsona – 'oznajmił. – Rekonwalescencja po zeszlotygodniowej operacji przebiega bardzo pomyślnie. – A potem spytał od

niechcienia: – Czy doktor Trevalley i Cathy są tutaj?

– Tak – odparła. – Chyba teraz robią obchód.

– Poszukam ich.

Po krótkiej, grzecznościowej rozmowie wyszedł, a w chwilę później dobiegło ją z korytarza radosne powitanie:

– Och, Cathy! Jak ci się u nas podoba? Świetny pomysł, żebyś spędziła tu trochę czasu. Wydaje mi się... – Następnie głos zanikł, ponieważ weszli do jednej z sal.

Po chwili pojawił się sam Howard.

– Wszystko idzie jak po maśle – oświadczył wielce zadowolony.

Rosalie rozejrzała się wokół, by upewnić się, że nikt ich nie słyszy i spytała bez ogródek:

– Spotkamy się w piątek jak zwykle? – Po raz pierwszy wykazała inicjatywę. W przeszłości zawsze zapraszał ją Howard.

– Tak, oczywiście. – Wydawał się zaskoczony.

– Może spróbujemy tym razem czegoś nowego – zaproponowała. – Mam wrażenie, że menu u Baldwina znamy na pamięć.

– Och, tak – roześmiał się nieprzekonywająco.

– Masz rację. Moje gusta są zbyt tradycyjne. Cathy zawsze mi z tego powodu dokucza. Powinienem pokazać, że dotrzymuję kroku młodemu.

– A zatem znajdziemy jakieś miejsce, gdzie serwują *nouvelie cuisine*, dobrze?

Obecność Cathy Trevalley w szpitalu została przez wszystkich zaakceptowana. Była szczerą, miłą dziewczyną i miała dość rozumu, by nikomu nie nadebrać na odcisk. W krótkim czasie zdobyła sobie również sympatię pacjentów. Ale Howarda czekało głębokie rozczarowanie, myślała Rosalie, jeśli sądził, że praktyka w szpitalu skłoni Cathy do robienia specjalizacji.

W środę zadzwonił z intensywnej terapii.

– Gdzie jest Cathy? Czekam już tu na nią od kilku minut!

– Zaraz ją znajdę – odparła Rosalie.

I w końcu odnalazła Cathy przy łóżku Johna Powysa.

Walijczyk wyglądał na szczęśliwego i ożywionego.

– Mieszkałem kiedyś w dolinie, niedaleko Llandoverly – opowiadał. – A pani przyjaciel... proszę powtórzyć.

– Jest weterynarzem – wyjaśniła Cathy. – Praktykuje w Llandilo.

– Moja siostra mieszka w Llandilo!

– Pani doktor – wtrąciła Rosalie.

– Och, przepraszam, czeka pani na mnie? – Cathy odwróciła się z poczuciem winy. – Akurat dowiedziałam się, że pan Powys pochodzi z Llandovery, a to niedaleko Llandilo, gdzie mam objąć praktykę.

– Co za zbieg okoliczności! – powiedziała Rosalie zastanawiając się, dlaczego na policzkach Cathy pojawił się rumieniec. – Właśnie dzwonił pani ojciec...

– O Boże! – Młoda lekarka zerknęła na zegarek.

– Już dawno powinnam tam być! Muszę lecieć. Ale, panie Powys – zwróciła się do starszego mężczyzny – niech pan nie waży się stąd wyjść, zanim nie opowie mi pan wszystkiego o Llandovery!

Pan Powys wyglądał na rozradowanego, co mu się nie zdarzyło przez wiele ostatnich dni. Rosalie wiedziała, że pacjent długo jeszcze zabawi w szpitalu, czekał bowiem na transplantację serca. Wiedziała również, że bardzo jej się obawiał i na ogół był przygnębiony. Ale przed chwilą pod wpływem Cathy Trevalley zaczął się zachowywać, jakby o wszystkim zapomniał.

Ona będzie dobrym lekarzem ogólnym, przemknęło przez myśl Rosalie.

W czwartek jej wniosek się potwierdził.

– Dzwonili z izby przyjęć – oznajmiła Margaret Binns, odkładając słuchawkę. – Leonard Robinson znów został przyjęty. Chyba nie minął jeszcze miesiąc od jego wypisu?

– Och, być może – powiedziała Rosalie trochę nieprzytomnie. Była siódma rano, a ona, jak zwykle ostatnio, nie spała dobrze w nocy. Skupiła się teraz, by przypomnieć sobie pacjenta. – Następny atak serca? – spytała po chwili zadumy.

Znów zadzwonił telefon. Tym razem był to Daniel Canaday. Dlaczego Margaret nie podniosła słuchawki? – pomyślała Rosalie.

– Czy pan Robinson jest już u was?

– Jeszcze nie – odparła. – Czekamy na niego. Czy miał znów atak serca?

– Elektrokardiografii nic nie wykazał. Kwadrans temu badałem go na izbie przyjęć. Powiadom mnie, gdy już go ulokujecie. A tymczasem, czy mogłabyś zadzwonić do jego lekarza ogólnego? Chciałbym zamienić z nim parę słów.

Rozmawiał z nią bezosobowo, jak każdy inny lekarz. Rosalie zacisnęła zęby, by powstrzymać napływ bolesnych myśli.

Niebawem pana Robinsona przywieziono na oddział. Był zdenerwowany z powodu swej nieobecności w pracy i zły na żonę, która wyszła, nim go zbadano i teraz nie można było jej zastać w domu.

Rosalie bez trudu odnalazła na karcie pacjenta nazwisko jego lekarza domowego, pana Briana Elthama, i natychmiast do niego zadzwoniła.

– O Boże! – zakrzyknął doktor, gdy przekazała mu smutną wiadomość.

– Doktor Canaday chciałby z panem porozmawiać. Czy mógłby pan zadzwonić do nas za kilka minut?

– Cóż... Mam dziś mnóstwo pacjentów. Za chwilę zaczynam przyjmować – odpowiedział. – Może jest w tej chwili inny lekarz, z którym mógłbym porozmawiać?

Rosalie zawahała się przez moment, a potem szybko odrzekła:

– Za chwilę poproszę. – Przykryła dłonią słuchawkę i konspiracyjnym szeptem zwróciła się do Cathy Trevalley, która właśnie pojawiła się w dyżurce: – Proszę porozmawiać z doktorem Elthamem. Muszę przywołać doktora Canadaya, a to trochę potrwa.

Cathy wzięła kartę pana Robinsona i z uśmiechem przyjęła słuchawkę. A kiedy dobre kilka minut później oddała ją Canadayowi, powiedziała do Rosalie z dumą w głosie:

– Daniel niczego więcej się nie dowie. Doskonale nam się gawędziło. Dowiedziałam się, że małżeństwo pana Robinsona się rozpada, a w pracy ma poważne kłopoty.

Daniel rzeczywiście niebawem odłożył słuchawkę.

– Doktor Eltham powiedział, że już wszystko wiesz – zdziwił się, zwracając się do Cathy. – Nie wiem, czy nie przekroczyłaś trochę swoich kompetencji – dodał żartem.

– Nie przejmuj się – pocieszyła go. – Jutro już mnie tu nie będzie.

– Naprawdę? – Wydawał się zaskoczony i rozczarowany, a przynajmniej tak odebrała to Rosalie. – Sądziłem, że zaczynasz pracę w Llandoverly dopiero za dwa tygodnie.

– Owszem – przyznała. – Ale pomyślałam, że byłoby dobrze zadomowić się trochę w domku, który wynajęłam, poznać okolicę...

– To prawda – przytaknął, przyglądając jej się lekko zmrużonymi oczami.

W tej z pozoru niewinnej wymianie zdań kryło się coś więcej, czego Rosalie nie rozumiała. Nie mogła skupić się na merytorycznej rozmowie, którą po chwili wiedli

na temat przypadku pana Robinsona. Przyglądała się Danielowi wzrokiem niemal zaborczym; nie mogła oderwać oczu od miękkich pukli włosów, wijących się na jego szyi, wgłębienia na górnej wardze i malutkiej, białej blizny na szczęce oraz opalonych obojczyków, wyłaniających się spod rozpiętej koszuli. Nawet sposób jego mówienia – stanowcze, przemyślane ruchy głową – wszystko działało na jej zmysły.

Może mogłabym się z nim zaprzyjaźnić, pomyślała. Może będę musiała... jeśli on i Cathy na poważnie się zaangażują, jeśli się pobiorą, a ja wyjdę za męża za Howarda. Wówczas będę przecież jego przyszywaną teściową! To brzmi okropnie!

Cathy niebawem wyszła, a Rosalie zwróciła się do Daniela ze starannie wystudiowanym uśmiechem:

– Dostałeś od niej po nosie, prawda?

– Co? – Jego czarne oczy patrzyły na nią beznamiętnie. – Co za śmieszny pomysł! Jestem jej głęboko wdzięczny za pomoc i uzyskane informacje. Będzie doskonałym lekarzem ogólnym. Muszę już iść zbadać Robinsona!

Zakończył nagle rozmowę i wyszedł, a Rosalie poczuła się tak, jak musiały czuć się jej ukochane róże, gdy niespodziewany przymrozek zmroził im zbyt wcześnie wypuszczone pączki. .

Trzy godziny później, podczas lunchu, nadal czuła zadre w sercu po tej rozmowie. Siedziała samotnie przy stoliku i nagle, gdy podniosła wzrok, zobaczyła Daniela z tacą, przeciskającego się między krzesłami. Ich oczy spotkały się na moment i w tej samej chwili wybrany przez niego stolik zajęło kilkoro hałaśliwych studentów. Daniel zawahał się. Rosalie przełknęła niechęć i postanowiła zachować się uprzejmie. Byłoby nienaturalne, gdyby mieli się do siebie nie odezwać.

– Tu jest miejsce – podniosła lekko głos, bo w jadalni panował gwar. – Ci nowi studenci wprost tryskają energią – powiedziała ze sztuczną wesołością, gdy usiadł w końcu przy jej stoliku. – Niezłe z nich byczki! Mam nadzieję, że zostaną ortopedami, będą wówczas mogli należycie wykorzystać siłę swych mięśni.

– Rosalie, przestań! – przerwał raptownie niskim, wibrującym głosem. – A więc tak będziemy teraz rozmawiać? Będziemy sobie ucinać pogawędki, jak gdyby nigdy nic?

– Miałam nadzieję...

– To niemożliwe! – burknął gniewnie.

– Dlaczego? – odparowała, czując również wzbierający gniew. – Byłoby w dobrym tonie, gdybyśmy przynajmniej próbowali i udawali, że...

– W dobrym tonie! Nic mnie nie obchodzi dobry ton. – Wypowiedział te słowa z gorzką drwiną. – W pewnych sferach mego życia nie przywiązuję wagi do takich

spraw, Rosalie. Jeśli chcesz, aby stosunki między nami były uprzejme, towarzyskie i rozsądne, musisz dokonać wyboru. – Urwał nagle. – Przypuszczam, że już to zrobiłaś. Wybrałaś Howarda, czy tak? Przegrałem z Howardem Trevalleyem! – W jego głosie brzmiała teraz nuta rozbawienia.

– Nie – zaprzeczyła bez specjalnego przekonania, a on uniósł cynicznie brew.

Cóż miała, powiedzieć? Że wcale nie pragnie Howarda, że pragnie jego, ale to się nie może udać, bo ona... ona przywiązuje wagę do pewnych spraw. Pragnie czegoś więcej niż zaspokojenia zmysłów. I wobec tego, ponieważ Daniel nie może niczego takiego jej zagwarantować, zbuduje związek z kimś innym, kimś o wiele bardziej odpowiednim!

Daniel nie dał jej dojść do słowa.

– Rozumiesz mnie, Rosalie? – Wymówił jej imię tak pieszczotliwie, że zadrżała. – Będziemy traktować się przyjacielsko na oddziale, ale wszędzie indziej zaprzestaśmy udawania. Sparzyliśmy się na sobie i przynajmniej ja nie mogę znieść ciągłego rozdrapywania ran.

– Chciałbym zorganizować następne spotkanie we czwórkę podczas weekendu – powiedział Howard do Rosalie, gdy gawędzili przy kawie pod koniec przyjemnie spędzonego wieczoru.

– Świetny pomysł. – Miała nadzieję, że nie zauważy przymusu w jej tonie.

– Bardziej prywatne spotkanie – podkreślił. – Zdałem sobie sprawę, że nigdy u mnie nie byłaś.

– To prawda. – Humor jej się nieco poprawił, choć nie pojmowała, dlaczego. Byłaby z pewnością zaskoczona, gdyby zrozumiała swój podświadomy tok myślenia: jeśli spodobałby jej się dom, wówczas łatwiej przystałaby na spędzenie życia z jego właścicielem.

– Jeśli więc jesteś wolna w niedzielę po południu, proponuję lunch i spacer po moim ogrodzie. To ostatni weekend Cathy przed udaniem się na odludzie. Ustaliłem już, że Daniel ma czas. Może wyślemy ich na małą konną przejażdżkę, a sami będziemy mieć trochę czasu dla siebie.

– Doskonale. – Zapadła chwila ciszy, a potem Rosalie zebrała się na odwagę: – Właściwie po co usiłujesz ich do siebie zbliżyć, skoro ona wyjeżdża tak daleko?

– Och, ostatecznie Walia nie leży na końcu świata. Daniel to zawadiaka! Z pewnością nie odmówi sobie wariackiej jazdy samochodem w każdy weekend. Mężczyźni w jego wieku mają dużo animuszu!

– Zapewne i ty taki byłeś! – zdobyła się na żart.

– Och, ja to co innego – odpowiedział poważnie.

– Byłem żonaty, od niepamiętnych czasów miałem rodzinę na utrzymaniu. Często planowaliśmy z Helen, że gdy dzieci dorosną... Ale ona zmarła zaraz po tym; jak Timothy wstąpił do marynarki. W każdym razie – szybko zmienił temat, obawiając się słów współczucia – moja gospodyni przygotowuje nam posiłek. Oczywiście ona ma wolne w niedzielę, ale jestem pewien, że poradzimy sobie z nakryciem do stołu.

– Będę czekać z niecierpliwością.

Oczywiście było to dalekie od prawdy, tym niemniej w niedzielę ubrała się starannie w eleganckie kwieciste spodnie i kremową bluzkę. Założyła słomkowy kapelusz i okulary przeciwsłoneczne, po czym zgodnie z planem udała się do Howarda.

Dom, zgodnie z jej oczekiwaniami, był staroświecką, uroczą budowlą z czerwonej cegły; sprawiał o wiele bardziej dostojne wrażenie niż jej własny domek z polnego kamienia. Bluszcz łagodził surowość wiktoriańskiej fasady, wewnątrz zaś nowoczesność szła w parze z cennymi, starannie dobranymi antykami. Rosalie wiedziała, że ich kolekcjonowanie było wielką pasją żony Howarda.

Siedziała na zielonym szeszlunku, czekając na drinka, którego Howard przyrządzał w kuchni i przyglądała się pokojowi. Tak, wszędzie tu czuło się obecność Helen – począwszy od fotografii na pianinie, po ułożenie kwiatów w gustownie dobranych wazonach. Zapewne gospodyni Howarda, która pracowała tu od lat, utrzymywała niezmiennie takie same porządki jak za życia swej pani.

Rosalie czuła się obco i nieswojo; atmosfera tego wnętrza w dziwny sposób ją przytłaczała. Czy nie mogliby usiąść na werandzie lub jakimś zacienionym tarasie? W chwilę później przysła jej w sukurs Cathy. Zbiegła w podskokach ze schodów i od progu zawołała:

– Och, nie siedźmy tutaj! Gdzie jest tata? Robi ci drinka? Powiem mu, że przenosimy się na taras.

Gdy przechodziły przez hol, usłyszały podjeżdżający samochód. Córka Howarda natychmiast podbiegła do drzwi na spotkanie Daniela.

– Danielu – spytała, gdy wszyscy się przywitali – napijesz się likieru cytrynowego z wodą sodową? Pomogę tacie przy drinkach, a wy tymczasem przejdźcie wokół domu na taras.

I tak Rosalie została sama z Danielem. Uśmiechnął się do niej. W milczeniu obeszlą dom. Howard i Cathy byli już na tarasie. Cathy akurat ustawiała drinki na białym stoliku z kutego żelaza.

– Nie miałem nawet czasu spytać, Cathy – zagaił Howard – spytać, jak podobało

ci się w naszym szpitalu?

– Och, robi duże wrażenie – zapewniła go córka, a potem dodała z uśmiechem na pół złośliwym, na pół przepraszającym: – Wydaje mi się jednak, że powinniście zadbać o lepszą współpracę między specjalistami a lekarzem prowadzącym pacjenta w domu. Właściwie, Danielu, ta uwaga odnosi się bardziej do ciebie niż do taty.

– Pomyślę o tym – obiecał kardiolog z pobłażliwym uśmiechem.

Na twarzy Howarda uczucie dumy walczyło z lekkim rozczarowaniem. Cathy nigdy nie traciła okazji, by stanowczo podkreślić, że należy do obozu lekarzy ogólnych. Ale robiła to inteligentnie i w dobrym stylu. Howard mimo wszystko był z niej dumny.

Spędzili sympatycznie pół godziny na beztrudnej rozmowie, a potem Cathy zaproponowała, by zjedli posiłek na zewnątrz.

– Nie, tylko nie w jadalni! – wykrzyknęła, uprzedzając protesty Howarda.

– Król Lear miał rację – rzekł filozoficznie Howard. – Większy ból niż ukąszenie węża sprawia niewdzięczne dziecko!

– Ale ty nie jesteś na przekętym wrzosowisku – czy to nie Makbet? – tylko siedzisz w zbyt ostrym słońcu – odcięła się. – Przesuń krzesło trochę do tyłu i będziesz w cieniu. Paszteciki pani Fowey i sałata będą o wiele lepiej smakowały na świeżym powietrzu.

Nigdy nie nauczę się tak nim kierować jak ona, przeszło Rosalie przez myśl. I zaraz przeraziła się: nie powinna tak myśleć. Z poczuciem winy zwróciła się do Howarda:

– Tu, na zewnątrz, jest rzeczywiście wspaniale.

– Poddaję się – powiedział z uśmiechem.

Po tej wymianie uwag Rosalie poczuła się trochę lepiej. Jedzenie było wyśmienite, a ponieważ krzesła zostały tak ustawione, że nie musiała stale patrzeć na Daniela, mogła sobie nawet wmawiać, że go w ogóle tu nie ma.

– Proponuję herbatę i ciasto – powiedział Howard, gdy skończyli lunch. – A może wy dwoje macie ochotę na przejażdżkę?

– Wiem, że w wiosce czekają na nas konie – wtrąciła Cathy – ale nie podoba mi się niebo.

– Och, rzeczywiście. – Howard spojrział na zasnute chmurami słońce. – Znosi się na burzę. Co za pech!

– Może wobec tego pospacerujemy trochę po ogrodzie – podsunął Daniel.

– Nie wiedziałem, że interesuje się pan ogrodnictwem – mówił Howard, gdy szli

po opadającym zboczach wśród bezmiarów krzewów ozdobnych, drzew i kwiatów.

– Nie interesuje mnie poznawanie botanicznych nazw setek roślin – wyjaśnił Daniel – ale Kocham piękno dobrze zaprojektowanego ogrodu i lubię patrzeć, jak ktoś pracuje w ogrodzie z prawdziwym uczuciem, wkłada weń duszę. W takim ogrodzie chętnie powyrywam chwasty.

Rosalie zarumieniła się. Miała niejasne wrażenie, że Daniel mówi o niej.

– Ma pan rację – mówił Howard. – Właśnie z takich pobudek pomagałem Helen. Ona kochała i pielęgnowała ten ogród. Kiedy żyła, ogrodnik przychodził tylko raz na tydzień. Teraz przychodzi trzy razy, a ogród mimo to nie wygląda tak, jak za życia mej żony.

Rosalie zawstydziała się własnych myśli. Daniel – spostrzegawczy i wrażliwy – natychmiast zrozumiał, czym ten ogród jest dla Howarda i oczywiście do niego skierował swe słowa. A ona bezsensownie przypuszczała...

Dały się słyszeć coraz wyraźniej pomruki nadchodzącej burzy i całe towarzystwo skwapliwie ruszyło do domu. Rosalie z Danielem pozostali na chwilę sami, podczas gdy Cathy i Howard zajmowali się przygotowaniem deseru. Siedzieli w ciszy pełnej napięcia, ciszy przed burzą. Po chwili na dachu zadźwięczały pierwsze krople deszczu. I wtedy Daniel odezwał się:

– A więc już wszystko widziałas i możesz się zdecydować, nieprawdaż? – Mówił tonem zjadliwym i przyglądał jej się cynicznie.

– Co... co masz na myśli?

– Nie udawaj, że nie przyjechałaś tu na inspekcję. Dom, basen, piękny ogród, antyki.

– Czy śmiesz sugerować, że...

Nie zdążyła dokończyć, bo właśnie Howard i Cathy zjawili się w pokoju. Wściekłość i ból ścisnęły jej gardło i ledwie zdołała podziękować Cathy, która postawiła przed nią porcelanową filiżankę z parującą herbatą.

– Na dworze leje jak z cebra – powiedział Howard.

Daniel wyszedł po dwudziestu minutach.

Rozdział 8

– Nie wychodź jeszcze – powiedział Howard.

Cathy poszła na górę, żeby się spakować – wyjeżdżała bardzo wczesnie rano – i Rosalie została sama z Howardem. Gorąco pragnęła wyjść. Ciągle odczuwała ból z powodu oskarżenia Daniela; nie zdążyła nawet zaprzeczyć jego słowom, ale – co najgorsze – w tym co mówił, niestety, kryło się trochę prawdy. A teraz Howard nie pozwalał jej wyjść i musiała przedłużyć to nieznośne popołudnie.

– Muszę ci coś powiedzieć, Rosalie. – Usiadł obok niej na pluszowym szeszlunku i nerwowo pocierał ręce.

– Słucham cię, Howardzie. – Zmusiła się, by na niego spojrzeć i wówczas napotkała jego bacznego, intensywny wzrok. Czyżby wybrał właśnie dzisiejszy dzień na oświadczenia? Ale nie, to nie mogło być to! Twarz jego wyrażała rozterkę i... strach.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – zaczął niepewnie – ale dzisiaj zrozumiałem... – zająknął się. – Bardzo cieszyłem się z naszej przyjaźni, Rosalie, i miałem nadzieję, iż przerodzi się ona w głębsze uczucie. Myślałem, że zechcę się powtórnie ożenić... właśnie z tobą, ale dzisiejsza twoja wizyta... Właśnie teraz zrozumiałem, że to niemożliwe. Mam nadzieję, głęboką nadzieję, że nie zaangażowałaś się poważniej i że cię nie zranię. Nagle pojąłem, iż ciągle kocham Helen i nie jestem gotów, by ktoś ją zastąpił. Może zresztą nigdy nie będę... Teraz, gdy Timothy wypłynął w morze, a Cathy zajęta jest sobą, ten dom ziele pustką.

Zdaję sobie sprawę, że kobieta by to miejsce ożywiła, ale nie jestem w stanie ofiarować przyszłej żonie miłości, którą dałem Helen. Z początku myślałem, że przyjaźń i szacunek wystarczą, ale to nieprawda. Byłbym nieuczciwy wobec ciebie. Mam nadzieję, że potrafisz mi wybaczyć...

– Nie ma nic do wybaczenia – odparła spokojnie i szczerze.

Jego słowa przyniosły jej dziwną ulgę i jakże wiele tłumaczyły: jego niezręczność, rezerwę, zakłopotanie... Musiał wiedzieć, że ich związek nie ma szans.

Ja przecież też wiedziałam, zdała sobie sprawę w nagłym olśnieniu. Nigdy nie mogłabym poślubić Howarda! Dlaczego tak długo waliłam głową w mur?

Zrozumiała teraz z całą jasnością, że obydwójce zachowywali się jak ślepi głupcy – zgodnie z utartymi konwenansami, ignorując swe prawdziwe uczucia. Bo ona przecież kochała Daniela Canadaya.

Kochała go! Nie była to odpowiednia chwila na zastanawianie się nad tym

nowym odkryciem, ale twarz jej musiała stężeć w nagłym osłupieniu, bo Howard pochylił się nad nią zaniepokojony i spytał z troską w głosie:

– Nic ci nie jest, moja droga?

– Ależ skądże. – Z trudem zdobyła się na uśmiech.

– Cieszyłam się z naszej przyjaźni, Howardzie, i będzie mi brakowało naszych wspólnych wieczorów u Baldwina, ale... nie złamałeś mi serca.

– Dzięki Bogu! – odetchnął, a twarz mu pojaśniała.

– Z pewnością będziesz kiedyś wspaniałą żoną... Mam nadzieję, że zostanę zaproszony na ślub.

– Och, nie sądzę, by to miało nastąpić. – Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Co prawda trzymaliśmy nasz związek w sekrecie, ale mam nadzieję, że nasza przyjaźń niczego ci nie popsuka.

– Nie – odrzekła machinalnie, myśląc o Danielu, a potem zreflektowała się: – To znaczy nie istniał taki problem. Nie czułam...

– To dobrze, dobrze. A więc wszystko w porządku. Cieszę się, że mnie zrozumiałaś.

– Muszę już naprawdę pójść, Howardzie – powiedziała wstając.

– Zawołać Cathy, żeby się z tobą pożegnała?

– Nie przeszkadzaj jej. Z pewnością ma mnóstwo roboty. Życz jej powodzenia w nowej pracy, dobrze? I dziękuję za wspaniały dzień. Masz przepiękny ogród. Jaka szkoda, że burza nie pozwoliła nam dokładniej go obejrzeć.

W chwilę później Rosalie wyjechała z krętego żwirowego podjazdu i skręciła w spokojną drogę, prowadzącą do małej wioski Dulverham. Ale po przejechaniu kilkuset metrów ręce jej zaczęły tak drżeć, że musiała zjechać na pobocze i wyłączyć silnik.

Daniel... A więc to o niego chodziło. Howard był jej obojętny, nawet nie zdołał jej urazić swym wystąpieniem.

– Wiedziałam, że zaangażowałam się uczuciowo – wyszeptała, przyciskając do ust rozpalone dłonie. Jej brązowe oczy, suche i płonące, wpatrywały się nieprzytomnie w kamienny mur okalający drogę.

– Myślałam, że to tylko zmysły, że one płatają mi figła! Ale nie w tym rzecz! To jest prawdziwe uczucie i... beznadziejne. Do licha, powinnam postawić wszystko na jedną kartę, powinnam przespać się z nim, wykorzystać każdą chwilę, choćby miała trwać krótko. Wcale nie zależy mi na bezpieczeństwie i stabilizacji. Gdyby tak było, pragnęłabym Howarda... i teraz byłabym zraniona jego słowami. Kocham Daniela, bo

jest nieobliczalny i nie zważa na konwenanse. Ośmielił się... Ośmielił mnie – poprawiła się – i nabrałam odwagi do szerszego spojrzenia na świat, do otwarcia się na nowe wrażenia, do impulsywnych działań, spontanicznych reakcji. Och, dlaczego to mi nie wystarczyło... dlaczego mu odmówiłam?

Nawiedziła ją szalona myśl, by pojechać do niego i zaproponować mu... co tylko by zechciał – dziki, zmysłowy romans, jakiś zwariowany, romantyczny weekend gdzieś razem. Wszystko jedno gdzie, póki jeszcze jest czas!

Ale czy nie było za późno? Może on i Cathy Trevalley zakochali się w sobie? A jeśli Daniel zechce się ustatkować? Cathy była o wiele lepszą kandydatką na żonę – mogła mu przecież dać dzieci...

Muszę myśleć o przyszłości i oszczędzić sobie bólu – pomyślała w końcu znużona.

Deszcz przestał padać i znów wyszło słońce, ale nie było już tak upalnie jak rano. Krople wody nadal lśniły na bujnej roślinności, porastającej stare, kornwalijskie mury graniczące z drogą, a powietrze było świeże i rześkie.

Róże w jej ogródku na pewno znów rozchyliły swe stulone pączki do słońca. Czas było wracać do domu.

- Moja praktyka na tym oddziale się kończy – westchnęła Elise Jones, trochę jakby sama do siebie.

- No cóż, czas leci – odpowiedziała zdawkowo Rosalie. Lato minęło tak szybko. Jackie Billings z powrotem była na dole, pod jej opieką, i już wkrótce miała zostać wypisana, podobnie jak wielu innych pacjentów, którzy przychodzili i odchodzili. Ale kiedy sięgnęła myślą do początku tego wyjątkowego lata, a tym samym do początku swej znajomości z Danielem Canadayem, odniosła wrażenie, że od tamtej pory minęły wieki.

Elise Jones, jak się okazało, również myślała o kardiologu, bo dodała z niekłamany zalem:

- A to oznacza, że już nigdy nie zobaczę tego niebywałego mężczyzny.

Ów „niebywały” mężczyzna przed chwilą pojawił się na oddziale, aby zbadać pacjenta i właśnie znów wychodził. Pozdrowił Rosalie zdawkowo. Podczas pięciu tygodni, które minęły od owego pamiętnego lunchu u Howarda, zachowywał się niezmiennie tak samo: grzecznie, lecz oficjalnie i gdy tylko mógł, unikał jej wzroku.

- Do widzenia, doktorze Canaday – zawołała za nim Elise, a on odwrócił się, jakby w roztargnieniu, i posłał jej uprzejmy uśmiech.

- Ty i twoje głupie miłostki, Elise – wygłosiła swą opinię Beverly Moore,

podchodząc do kartoteki.

– Och, wcale nie jestem głupia – zaprzeczyła praktykantka. – Doskonale wiem, że taki mężczyzna jak on nigdy by się mną poważnie nie zainteresował, a więc otwarcie go adoruję. To łagodzi napięcie i jest o wiele lepsze niż płacz w poduszkę.

Beverly mruknęła coś pod nosem, a na jej policzkach niespodziewanie pojawił się rumieniec.

Czyżby i Bev się w nim kochała? – pomyślała Rosalie z rosnącą irytacją. Nie, to stawało się nie do zniesienia! Pochyliła głowę nad papierami, z determinacją zabierając się do pracy.

Był piątkowy wieczór. Dochodziła właśnie ósma i należało zrobić obchód. Daniel musiał mieć dyżur, skoro pojawił się tu o tak późnej porze, przyszło jej nagle do głowy. Spojrzała melancholijnie przez okno; cały dzień padał deszcz, słyszała wodę monotonnie ciekącą rynnami. Na czarnej, błyszczącej od deszczu tafli parkingu odbijały się smugi światła, padające z pobliskich budynków. I nagle usłyszała ostrzegawczy sygnał monitora. W tej chwili czterech pacjentów podłączonych było na stałe do elektrokardiografów, ale instynktownie spojrzała na ekran pana Slade'a i nie omyliła się.

Pan Slade przebywał już w szpitalu bardzo długo. Po drenażu worka osierdziowego rekonwalescencja przebiegała z początku pomyślnie, ale potem stan pacjenta zaczął się pogarszać. Występowały znaczne zaburzenia rytmu serca, a od czasu do czasu salwy częstoskurczu komorowego. Dziś po południu pojawiła się lekka gorączka.

Rosalie natychmiast wywołała lekarzy dyżurnych, wśród których nie zabrakło Daniela. Serce pana Slade'a wykazywało teraz objawy utrwalonego częstoskurczu, a następnie migotania komór. Zespół lekarzy działał szybko i sprawnie. Dowodził Daniel. Pacjenta intubowano, podano mu tlen, założono wenflon, przez który podawano lignokainę, adrenalinę i dwuwęglan sodu.

– Nadal brak tętna – powiedział Daniel. – Spróbujmy jeszcze raz. – I znów elektrody defibrylatora zostały przyciśnięte do bezwładnej klatki piersiowej pana Slade'a.

Trwało to długo, bardzo długo, nim w końcu się poddano.

– Nie było szans – powiedział Daniel z nie ukrywanym smutkiem do Rosalie, gdy ekipa ratunkowa opuściła już salę. – To się zdarza. Stale powtarzam sobie, że muszę się przyzwyczać, ale to nie jest łatwe.

– Wiem.

– Był pacjentem wysokiego ryzyka. Może w ogóle nie powinniśmy leczyć go

operacyjnie?

– Końcowy rezultat byłby taki sam – przypomniała Rosalie. – Bez operacji nie pożyłby długo. Danielu, zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy – upewniła go raz jeszcze, gdy odwrócił się w stronę drzwi.

– Ty też.

Rosalie narzuciła płaszcz przeciwdeszczowy i mocowała się z oporną parasolką. Jej samochód stał samotnie w odległym miejscu parkingu. Jak zwykle, gdy przyjeżdżała na trzecią, nie mogła znaleźć przyzwoitego miejsca.

Gdy dotarła do wozu, miała pochłapane rajstopy, a wilgotne, przejmujące powietrze zdążyło wyziębic jej twarz i ręce. Usiadła za kierownicą, myśląc z ulgą, że niebawem znajdzie się we własnym, ciepłym domku. Włożyła kluczyk do stacyjki, przekręciła... i nic. Spróbowała znów, ale silnik uparcie milczał. Do licha, pewnie wyładował się akumulator! I to właśnie dziś!

Zmordowana, wygramoliła się zza kierownicy i wtedy usłyszała nadjeżdżający samochód. Odwróciła się. To był samochód Daniela.

– Co się stało?

– Myślę, że wysiadł akumulator albo zamokły przewody.

– Wsiadaj. – Pochylił się, aby otworzyć drzwi od strony pasażera, a ona bez słowa wsunęła się na siedzenie.

Jechali w milczeniu. Tragedia, która przed chwilą rozegrała się w szpitalu, nie nastrajała do lekkiej konwersacji. Czowała ulgę i dziwną wspólnotę z kimś, kto podzielał jej nastrój.

– O której jutro zaczynasz pracę? – zagaił po kilkunastu minutach błogosławionej ciszy.

– O trzeciej. Będę miała czas porozumieć się rano z mechanikiem.

– Zapowiada ci się miły poranek.

– Zdarza się.

Znów zapadło milczenie i trwało nieprzerwanie, aż dotarli pod jej dom. I wówczas, jakby chwytając okazję, która może się nie powtórzyć, Daniel powiedział:

– Rosalie, już dawno chciałem cię przeprosić za to, co powiedziałem u Howarda Trevalleya.

– Och...

– Wiesz, co mam na myśli?

– Tak.

– To nie była prawda. Wiedziałem, że nie mówię prawdy, ale byłem na ciebie zły.

Minęła dobra chwila, nim Rosalie się odezwała:

– Danielu, częściowo miałeś jednak rację. W rzeczywistości pragnęłam, by dom Howarda spodobał mi się. Miałam wrażenie, że dzięki temu łatwiej podejmę decyzję o małżeństwie.

– I podjęłaś? – spytał beznamiętnie.

– Nie. – Zatrzymali się w tym momencie przed bramą i Rosalie rzuciła bez zastanowienia: – Może wejdiesz i napijemy się gorącej czekolady? To nam dobrze zrobi.

– Z przyjemnością.

Wchodząc do domu milczeli. Ale nie było to milczenie krępujące. Coś sprawiło, że Rosalie czuła się dziś z Danielem o wiele swobodniej niż zazwyczaj. Czy to z powodu zmęczenia, czy wspólnie przeżytej tragedii w szpitalu, a może w wyniku tych kilku słów zamienionych w samochodzie – nie wiedziała.

Gdy siedzieli na kanapie, z kubkami czekolady ogrzewającymi im dłonie, Daniel ponownie zagaił:

– A więc nie masz zamiaru wyjść za Howarda?

– Nie.

– Czy to obopólna decyzja?

– Tak myślę – zaczęła ostrożnie, a potem nagle coś pchnęło ją do całkowitej szczerości: – Właściwie zdecydowałam się go poślubić, ale tymczasem on zrozumiał, że nadal kocha Helen i nie powinien mnie o to prosić. Przyjęłam jego wyznanie z uczuciem ulgi.

– Dlaczego?

Tym razem nie mogła zdobyć się na zupełną szczerość, więc powiedziała wymijająco:

– Łudziłam się, że poczucie bezpieczeństwa i zaufania wystarczy, by stworzyć udany związek. Myliłam się jednak.

– Czy rozumiałaś, czego pragniesz naprawdę?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Nie boisz się trudnych pytań, Danielu.

– Nie boję się. Ale oczywiście nie musisz na nie odpowiadać. – Odstawił pusty kubek i wyciągnął rękę na oparciu kanapy.

Nie wiadomo, jak to się stało, ale po chwili otoczył ją swym ramieniem, a ona złożyła mu głowę na piersi i siedzieli tak bez ruchu, bez słów – w takiej krzepiącej ciszy, spokoju, ogrzani własnym ciepłem, jak owego pamiętnego wieczoru w teatrze.

A potem przyciągnął ją bliżej do siebie i zaczął delikatnie pieścić jej twarz. Nim dotknął ust, zgasił stojącą za kanapą lampę i teraz jedynie pomarańczowe błyski elektrycznego kominka rozświetlały ciemność. Rosalie nie protestowała, gdy wsunął dłonie w jej włosy, wyjmował powoli szpilki i klamry, aż rude fale rozsypały się na jej ramionach. Tak, pragnęła tego. Pragnęła oddać mu dziś swe ciało i duszę. Dziwne, ale w pewnym sensie to Howard ją do tego przywiódł. Dzięki niemu uświadomiła sobie jasno i wyraźnie, że wszelkie próby budowania szczęścia w oparciu o zdrowy rozsądek będą daremne. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegł Howarda przed popełnieniem błędu i nadszedł czas, by ona również posłuchała głosu swego serca.

Ale nie tylko sercem pragnęła Daniela. Całe jej ciało stęsknione było jego miłości i pieszczot, i chciała oddać mu się bez reszty tej nocy, odrzucając na bok całą przezorność, świadoma, że burzy stateczny, cichy świat, w którym tkwiła, nim pojawił się Daniel.

Te myśli kłębiły jej się w głowie, a potem nie myślała już wcale, niezdolna myśleć, gdy Daniel powolnie, leniwie odkrywał jej nagość, a ona sama ponownie uczyła się rozbierać mężczyznę. Długą chwilę leżeli w bezruchu, wtuleni w siebie, napawając się własną nagością.

Rosalie czuła, że jej miękkie, podatne ciało przystaje jak ulał do mocnych, prężnych kształtów Daniela, czuła swe nabrzmiące rozkoszą piersi tkliwie wtulone w jego delikatnie owłosiony tors i jego smukłe, długie uda przyciśnięte do jej własnych.

Czuła, że na nowo odkrywa swą kobiecość. Mikę... Mikę był przeszłością, zamierzchłą przeszłością. W ową nerwową noc poślubną dziewiętnaście lat temu była dzieckiem, zalęknionym dzieckiem... Od tamtej pory tak bardzo się zmieniła. Stała się dojrzałą kobietą, która teraz z ufnością i bez strachu oczekiwała spełnienia, a Daniel takiej kobiecie miał z pewnością o wiele więcej do zaoferowania.

Chwila spokoju pierzchła i teraz ogarnięci nienasyconym pożądaniem obsypywali się gorącymi pocałunkami. Kontury ich splecionych ciał rozmazywały się w rozproszonym, czerwonym świetle kominka. Mijały sekundy, minuty, a oni tracili powoli poczucie czasu i miejsca. Nie mogłaby nawet opisać pieszczot, słów i gestów, które przywiodły ich do miłosnej ekstazy. Wiedziała tylko, że wszystko, co się wydarzyło, było cudowne i jedyne w swej doskonałości. Namiętnymi okrzykami odpowiadała na jęki rozkoszy dobywające się z jego piersi. Nie powstrzymywali się, nie wstydzili naturalnej ekspresji... A potem nastąpiły chwile równie błogie – leżeli przytuleni, bez słów, ich serca biły teraz spokojnie, coraz spokojniej, ich nasycone ciała opływało łagodne, odprężające ciepło.

W końcu Daniel westchnął i poruszył się.

– Może byśmy poszli do łóżka? – wyszeptał.

– Do łóżka? – zdziwiła się z zalotnym uśmiechem.

– Mówię dosłownie. Pragnę cię trzymać w objęciach przez resztę nocy.

Zgodziła się bez słów i poszli w ciemność, nie dbając o porozrzucone wokół odzienie. Na schodach, z dala od ciepła elektrycznego kominka, owiał ją chłodny prąd powietrza i z rozkoszą pomyślała o łóżku, kołdrze... i ciepłych ramionach Daniela.

Szła przed nim, a gdy dotarli do sypialni, poczuła, jak jego gorące dłonie zdejmują chłód z jej pleców, a potem przesuwają się w dół ku miękkim zarysom jej bioder, by po chwili sięgnąć do góry po stojące, tkliwe piersi. Westchnęli drżąc i skryli swą nagość w pościeli.

Nie minęła minuta, nim zapadli w słodką drzemkę, i nie więcej niż pięć minut, nim instynktownie obudzili się znów, spragnieni siebie.

Kochali się teraz swobodniej, z większym wyczuciem i znajomością siebie, bardziej delikatnie i czule – o ile to w ogóle było jeszcze możliwe. Trochę żartowali przekomarzając się, a potem, gdy rozkołysana fala pożądania przetoczyła się ponownie i ucichła, zapadli w sen głęboki i niezmacony.

Rozdział 9

Rosalie obudziła się z uśmiechem na ustach i gdy zapadała z powrotem w półsen, otulając nagą skórę delikatną, kremową pościelą, czuła się szczęśliwa, cudownie ożywiona i jednocześnie odprężona. Powoli, jak z mgły, wyłaniały się z jej zmaconej snem pamięci wydarzenia ostatniej nocy. Daniel... Instynktownie wyciągnęła rękę w poszukiwaniu jego ciepłego ciała – tak bliskiego już i znajomego – i nagle otworzyła szeroko oczy w przestachu. Łóżko obok niej było puste i gdyby nie zgnieciona, ciepła jeszcze poduszka, mogłaby sądzić, że wszystko było snem.

Zerwała się na równe nogi, zarzuciła jedwabne kimono i spragniona widoku Daniela, popędziła na dół w nadziei, że go tam zastanie. Ale dom był przeraźliwie cichy i pusty.

Daniela nigdzie nie było, a spojrzawszy przez okno zauważyła, że zniknął również jego samochód. Może wezwano go do szpitala? – zastanawiała się przez moment, ale zaraz odrzuciła tę ewentualność. Dyżur pod telefonem kończył przecież o północy. Może wydarzył się jakiś nagły wypadek? Na pewno zostawił wiadomość...

Jak oszalała przeszukała dom – wszystkie prawdopodobne i nieprawdopodobne miejsca, zupełnie niczym dziecko bawiące się w „ciepło i zimno”, aż uśmiechnęła się z politowaniem, świadoma własnej naiwności. A może pojechał do pobliskiej francuskiej piekarni po świeże rogaliki? – pocieszała się znów. W takim razie powinien za chwilę wrócić.

Błyskawicznie nastawiła kawę, wyjęła kolorowy serwis śniadaniowy, wycisnęła sok z pomarańczy i nakryła do stołu. Czekala.

Na kuchennym zegarze dochodziła dziesiąta. Nie, to niemożliwe. Nawet jeśli w piekarni byłaby kolejka, powinien być już dawno z powrotem. Jestem idiotką – pomyślała i dobry humor uleciał z niej jak powietrze z nakłutego balonu. On nie pojechał po rogaliki ani po kwiaty, ani po gazetę... Po prostu wyszedł! Wystarczająco dużo naczytała się o podobnych sytuacjach w magazynach kobiecych, by nie wiedzieć, co to oznacza!

Romans jednej nocy. Cały czas się tego obawiała. Choć wczoraj... tak, wczoraj wyglądało to zupełnie inaczej! Niemal uwierzyła, gdy zasypiając przytulił ją tak czule i tkliwie, że darzy ją głębszym uczuciem. Dzisiejszy poranek rozwił jednak wszelkie złudzenia.

Daremnie czekała jeszcze pół godziny, a potem z irytacją sprzątnęła zastawę. Kompletnie straciła apetyt. Dopiero o pierwszej, jedząc lekki posiłek, przypomniała sobie nagle o stojącym pod szpitalem samochodzie. Ale nie miała już czasu dzwonić

do mechanika. Ubrała się szybko i pospieszyła na przystanek autobusowy pełna żalu i czarnych myśli. Och, nigdy więcej nie chciała doświadczyć takiego upokorzenia!

Praca nie sprawiała jej dziś przyjemności. Wszystko męczyło ją i denerwowało. Znalazła wolną chwilę, by zadzwonić do warsztatu samochodowego. Przynajmniej to załatwiła sprawnie. Naprawa nie nastreczyła kłopotów. Gdy wypisywała mechanikowi czek, przyszło jej nagle do głowy, że cała ta historia z Danielem ubiegłej nocy w ogóle nie miałyby miejsca, gdyby – o, ironio losu! – nie zepsuł jej się samochód.

Kardiologa nie było po południu w szpitalu i doszła do wniosku, że nawet dobrze się złożyło, zważywszy żenujące okoliczności. Ale czasem nawiedzała ją przewrotna myśl, że właściwie dobrze by było zmusić go do spotkania w cztery oczy!

Dopiero przed przerwą na wieczorny posiłek usłyszała, jak Elise mówi do Beverly Moore:

– Doktora Canadaya nie będzie aż do poniedziałku. Jest chory czy coś takiego... Siostra Blair nabazgrała jakąś wiadomość w notatniku. Jak zwykle nie można jej odczytać. Dzwonił o pierwszej trzydzięci, a może nie... Może ktoś inny dzwonił w jego imieniu. Sama nie wiem.

– Były jakieś problemy z pacjentami doktora Canadaya, Bev? – wtrąciła z pozoru obojętnie Rosalie.

– Nie, chodzi tylko o następne zebranie komitetu – odparła pielęgniarka. – Ale właściwie to nie jest w tej chwili tak ważne.

– A kto go zastępuje? – spytała Rosalie trochę z obowiązku, ale bardziej pobudzona ciekawością.

– Mogę zerknąć do tego notatnika?

„Sob. 13. 30; dr Canaday chory do poniedziałku. Zastępca – dr Parkinson. Kontakt – siostra Harriet Craft". To wszystko, co było napisane.

– Poprosimy doktora Parkinsona, jeśli będą jakieś problemy – zwróciła się do Beverly. – Napisz tę informację na tablicy dla nocnej zmiany.

Kim była siostra Harriet Craft? Rosalie nie mogła przestać myśleć o Danielu. Oczywiście nie uwierzyła, że jest chory. Doszła do wniosku, iż po prostu, nawet kosztem zaniedbania swoich obowiązków, pragnął uniknąć niezręcznego spotkania. Czy powodowała nim delikatność, czy też było to najbardziej bezlitosne zerwanie?

Późnym rankiem, w niedzielę, obudził ją dzwonek do drzwi. Bardzo źle spała tej nocy, dopiero o świcie zapadła w głębszą drzemkę, toteż wstała lekko nieprzytomna, narzuciła niebieskie kimono i zeszła na dół, po drodze przeklinając porannych

domokrażców. To był Daniel. Stał w drzwiach z torbą wypełnioną... rogalikami. Przez ulotną chwilę pomyślała, że cały miniony dzień był snem albo koszmarem, że czas cofnął się o dwadzieścia cztery godziny i oto Daniel wrócił z piekarni ze świeżym pieczywem. Ale nie, być może to właśnie teraz śniła na jawie...

– O Boże, Rosalie! To był koszmar! – przemówił, obejmując ją ramionami, podczas gdy ona walczyła, by wyzwolić się z jego uścisku.

– Co ty powiesz?! – W gardle dławiała histeryczny śmiech. – Nie wątpię, że za chwilę wszystko pięknie wyjaśnisz – mówiła z rosnącą furią i coraz głośniejszym głosem. – Miałaś całą dobę na wymyślenie przekonującej historyjki. A więc co się stało? Zapewne w dziennym świetle cała sprawa przestała wyglądać tak różowo i przypuszczam, że nie miałaś już ochoty na śniadanie. Nie było też sensu zawracać sobie głowy pożegnaniem. Strata czasu, rzecz jasna. W końcu dostałaś to, co chciałaś, nieprawdaż? Ciekawa jestem, po co przyszedłaś? Sądzisz, że będę tak głupia i uwierzę w jakieś głodne kawałki?!

Był to gwałtowny wybuch. Wybuch tłumionej emocji i bólu. Oto do czego prowadzi miłość sprzężona z namiętnością! – pomyślała w przystępie zdrowego rozsądku. Byłam szalona myśląc, że to podźwignę!

Daniel stał jak skamieniały, zmrużył oczy i słuchał tego rwącego potoku gorzkich słów z niedowierzaniem. Prawie nie mogła na niego patrzeć. Gdy skończyła swój wywód, na długą chwilę zapadła ciężka, napięta cisza.

– Nie mogę tego znieść, Rosalie – powiedział wreszcie tonem posępnym, pełnym urazy.

– Czego nie możesz znieść? – odparowała natychmiast.

– Czy musimy rozmawiać na progu?

– Och... – Zupełnie zapomniała, że nadal stoją w drzwiach.

Daniel przemknął obok niej i skierował się do kuchni. Rzucił torbę z pieczywem na blat kredensu i odwrócił się do Rosalie z błyskiem zniecierpliwienia w oczach.

– Nie zostanę na śniadaniu – odezwał się chłodno.

– Możesz zjeść je sama. Chciałem zrobić dla nas śniadanie, ale... teraz nie mogę.

– Nie rozumiem.

– Przyjechałem cię przeprosić, wszystko wyjaśnić... Sądziłem, że będziemy razem się z tego śmiać.

– Śmiać się?

– Tak myślałem. I liczyłem na odrobinę współczucia! – Dotknął ręką czubka głowy i dopiero wówczas Rosalie zauważyła, że na niewielkiej przestrzeni włosy

miał zgolone, a na ich miejscu przyklepiony opatrunek.

– Och, Danielu!

– Pojechałem wczoraj rano po rogaliki. Chciałem ci zrobić niespodziankę. Ale nawet nie dotarłem do sklepu; miałem stłuczkę. Straciłem przytomność i zostałem zabrany karetką do tutejszego szpitala. Zatrzymali mnie na całą dobę; dopiero dziś udało mi się wypisać na własną prośbę. Zdiagnozowali wstrząs mózgu. Dzwoniłem do ciebie po odzyskaniu przytomności, ale już wyszłaś, zostawiłem więc wiadomość w szpitalu. Potem cały dzień spałem. Myślałem, że się domyślisz, ale widzę, że się nie zrozumieliśmy.

– Megan Blair napisała tylko, że jesteś chory. A ja sądziłam, że po prostu stchórzyłeś! Och, Danielu...

– Podeszła do niego z otwartymi rękami, ale on powstrzymał ją.

– Nie, Rosalie. – Zabrzmiało to delikatnie, ale bardzo stanowczo. Odwrócił się od niej i przeszedł kilka kroków po pokoju. – Przed chwilą byłaś naprawdę wściekła. Wtedy, w nocy, było zupełnie inaczej. Myślałem, że zaczynamy się rozumieć... Nie chodzi mi tylko o łóżko – wypowiedział to słowo gładko i bez oporów – ale... Chyba nie ma już sensu o tym mówić. W piątek miałem nadzieję, że zaczniemy od nowa, ale widzę, że oszukiwałem sam siebie. Wszystko zostało po staremu, czyż nie? Nie twierdzę, że to twoja wina. Być może moja. Może powinienem skuteczniej działać, by rozwiązać twoje wątpliwości, ale nie potrafiłem. Chciałem... – urwał i rozłożył ręce w bezradnym geście. – Myślę, że na mnie pora.

Pragnęła coś odpowiedzieć, zareagować z równą szczerością, ale nie była w stanie. To prawda, nadal nękały ją niezliczone wątpliwości. Nie ufała mu dostatecznie, nie mogła po prostu powiedzieć, że go kocha. A to byłaby jedyna uczciwa odpowiedź.

– Rosalie! – Zatrzymał się w holu.

– Tak?

– Mimo że gorąca czekolada sprawiła mi w piątkowy wieczór ogromną przyjemność, lepiej nie róbmy tego więcej. Oboje za bardzo to przeżywamy, prawda?

Bez trudu się z nim zgodziła.

– Złe wieści! – powiedziała Beverly Moore, odkładając słuchawkę w środowy poranek w pierwszych dniach września.

– A co się stało? – spytała Rosalie, wchodząc do dyżurki po zakończeniu porannego obchodu.

– Norman Goodheart ponownie do nas zawitał!

– Och!

Minęło kilka miesięcy od czasu wypisu pana Goodhearta. Zazwyczaj nie pamiętało się pacjentów tak długo. W tym jednak szczególnym przypadku nie było z tym kłopotów. Należał do tych uciążliwych, kłótliwych pacjentów, o których się nie zapomina.

– Ponownie doskwiera mu ból w klatce piersiowej, tak samo jak przed wszczęciem bypassu – ciągnęła Beverly. – Na izbie przyjęć niczego konkretnego nie stwierdzono. Zostawiają to nam. Doktor Canaday robi teraz angioplastykę. Dopiero za jakąś godzinę przyjdzie, by zbadać naszego dobrego znajomego. Nie uważasz, że trzeba go ostrzec?

– Ostrzec? Och, rzeczywiście, on tu jeszcze w marcu nie pracował – odparła Rosalie bezbarwnym głosem.

– Pracuje z nami dopiero od maja – podchwyciła Beverly z nieznacznym uśmiechem, który podsunął Rosalie przypuszczenie, że Beverly Moore żywi jednak do kardiologa jakieś cieplejsze, nieoficjalne uczucia.

Minęły już prawie trzy tygodnie od owej pamiętnej rozmowy z Danielem. Przez ten czas obydwójce starali się nie wchodzić sobie w drogę. Rosalie zdała sobie nagle sprawę, że Daniel może z powodzeniem spotykać się teraz z Beverly albo Cathy Trelvalley...

Niebawem przywieziono pana Goodhearta i Rosalie musiała stanąć na głowie, by mu zapewnić separatkę. Co prawda nie było po temu żadnych wskazań medycznych, ale należało mieć na uwadze dobro innych pacjentów. W towarzystwie pana Goodhearta nikt nie miał prawa wyzdrowieć.

– Proszę dać mi środek przeciwbólowy! Natychmiast! – brzmiały jego pierwsze słowa po przybyciu na oddział. – Czuję, jakby ostry sztylet zagłębiał mi się w piersi.

– Nie dostał pan nitrogliceryny na izbie przyjęć? – spytała Rosalie z niedowierzaniem.

– Bezskuteczne piguły! – warknął. – A właściwie co ja tu robię? Dlaczego nie jestem na intensywnej terapii?

Ciężko było dogodzić panu Goodheartowi, a sama Rosalie nie czuła się dziś nadzwyczajnie. Była dziwnie zmęczona, jakby niewyspana i trochę ociężała. Od dłuższego czasu myślała już o spokojnym popołudniu i wieczorze w domowych pieleszach. Poleży sobie w ogrodzie na leżaku, poczyta książkę, a potem zje lekką kolację, weźmie ciepłą, łagodzącą kąpiel i pójdzie wcześniej do łóżka. Chyba po raz pierwszy w życiu tak liczę godziny pracy – pomyślała zdziwiona. Naprawdę muszę

być chora. Może jakiś niegroźny wirus...

Po godzinie Daniel Canaday zjawiał się na oddziale i nie zatrzymując się skierował swe kroki do separatki pana Goodhearta. Badanie trwało nieskończenie długo. Potem odnalazł Rosalie na jednej z sal i poprosił do dyżurki, by omówić przypadek. Było to zachowanie jak najbardziej naturalne.

– Zapisałem go jutro na koronarografię – oznajmił. – I proszę przypilnować, by nie brał zbyt wiele środków przeciwbólowych. Obawiam się, że w domu łykał wszystko bez umiaru. Mogę zobaczyć historię jego choroby?

– Oczywiście! – wykrzyknęła usłużnie stojąca z tyłu Beverly. Już dłuższą chwilę tylko czekała na okazję, by włączyć się do rozmowy.

– Beverly zna go równie dobrze jak ja i sądzę, że się ze mną zgodzi – mówiła Rosalie. – To wyjątkowo trudny pacjent! Skarży się na wszystko: na ból, na hałas, na szpitalne zapachy, no i ustawicznie drażnią go inni pacjenci.

– Hmm – zastanawiał się Daniel – od kiedy opuścił szpital, przytył i powrócił do palenia. Nie wiem, na co taki człowiek liczy. Jeśli jutrzejsze badanie wykaże, że przeszczepione naczynia są niedrożne, w najlepszym razie grozi mu angioplastyka. Ale to tylko doraźne rozwiązanie, jeśli nic nie zmieni w swoim życiu. Och, nie znoszę tych powtórnych przyjęć – dodał znużonym tonem. – Właśnie wypisaliśmy pana Robinsona po wszczepieniu mu bypassu i myślę, że to kolejny kandydat na powtórne odwiedziny. Jeśli nie zacznie pracować nad sobą w domu.

– Doktorze Canaday – wtrąciła Beverly, zarumieniona z podniecenia. – Mam świetny pomysł związany z naszą akcją profilaktyczną. To dotyczy również pana Goodhearta. Zastanawiałam się, czy nie moglibyśmy gdzieś pójść i szerzej o tym porozmawiać.

– Och, Beverly, nasza akcja nie jest tajna. – Uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

– Tak, oczywiście – zająknęła się. – Ja tylko... Pomyślałam, że pan Goodheart mógłby być dobrym wolontariuszem. Mógłby zachęcać, rozdawać ulotki. Gdyby udało się go w to wciągnąć...

– Właśnie: „gdyby” – powiedział Daniel sceptycznie. – Obawiam się, że pan Goodheart nie należy do ludzi, których uda nam się przekonać. – Rzucił porozumiewawcze spojrzenie Rosalie.

Beverly najwyraźniej nie pojmowała śmieszności swej propozycji i dopytywała się z nie ukrywanym entuzjazmem:

– Warto jednak spróbować, prawda?

– Oczywiście, oczywiście. Pomyślimy o panu Goodhearcie, gdy zobaczymy, co

wykażą jutrzejsze badania. A na razie uciekam!

Gdy Daniel oddalał się korytarzem, Rosalie spojrzała ukradkiem na Beverly i zauważyła na jej twarzy żywe rozczarowanie. On z pewnością się z nią nie spotyka! – pomyślała odkrywczo i poczuła dziwną ulgę. Ale zaraz zasepiła się znów. Problem z Danielem nie polegał na tym, że miała rywalkę. Występowała tu całkowita niezgodność usposobień i tego w żadnym razie nie można już było zmienić.

Pod koniec zmiany wszystkie pielęgniarki i reszta personelu pragnęła jednego: żeby pan Goodheart albo natychmiast cudownie ozdrowiał i został wypisany do domu, albo – żeby jutrzejsze badania wykazały jakąś ciężką i rzadką chorobę, której dalsze leczenie wymaga niezwłocznego wysłania pacjenta za Atlantyk w ręce najwybitniejszych specjalistów.

Rosalie wróciła do domu tak zmęczona, że nawet nie próbowała usiąść na leżaku z książką, choć dzień był piękny i ciepły. Od razu skierowała się do łazienki, odkręciła kurki i chwilę wahała pachnące olejki, nie mogąc dokonać wyboru. Zdecydowała się na cytrynową werbenę, zapach, który niezmiennie lubiła. Ale nim wlała płyn do kąpieli, ogarnęły ją takie mdłości, że szybko zakręciła buteleczkę. Mdłości na szczęście szybko ustąpiły, ale pławiąc się w gorącej wodzie doszła do wniosku, że musi cierpieć na jakąś dolegliwość. Odprężająca kąpiel niemal ją uspiła i gdy wyszła z wanny, naprawdę usnęła na dobre dwie godziny. Wstała tak rześka, świeża i ożywiona, że przekonała siebie samą, iż jednak nic jej nie dolega.

Czy to z powodu Daniela tak się czuję? – zastanawiała się. Czy to symptomy nieszczęśliwej miłości?

Minęły jednak aż trzy tygodnie, nim znalazła właściwą odpowiedź na to pytanie.

Rozdział 10

– Cześć!

Rosalie uniosła głowę znad notatek i ujrzała stojącą za nią Cathy Trevalley.

– Witaj, Cathy! – powiedziała szczerze zadowolona z widoku młodej lekarki. – Tylko mi nie mów, że już skończyłaś praktykę w Walii! Czyżby czas biegł tak szybko?

– Owszem – przyznała Cathy. – Skończyłam praktykę i dostałam stałą posadę nie opodal. Nowe miejsce zresztą bardziej mi odpowiada.

– No to gratuluję.

– Dzięki. – Zarumieniła się lekko z niewiadomego powodu, co Rosalie zdołała zauważyć, ale nie była w stanie głowić się nad tym.

Cały ranek czuła się źle i teraz znów walczyła z mdłościami, które ostatnio pojawiały się nagminnie.

Muszę iść do lekarza – myślała. To trwa już od tygodni i chyba jest coraz gorzej. Może cierpię na mononukleozę?

– Właśnie zjadłam lunch z Danielem i pomyślałam, że do was zajrzę. Tata jeszcze nic nie wie, że przyjechałam. Jest tu gdzieś w zasięgu ręki?

– Przez cały ranek operował. Teraz wyszedł na lunch, ale niedługo powinien wrócić. Poczekasz?

– Chyba nie. – Dziewczyna zawahała się. – Prawdę mówiąc, trochę obawiam się tego spotkania. Muszę mu zakomunikować coś, co go niechybnie rozzłości. Otóż zaręczyłam się.

– Och... – To był Daniel. To musiał być Daniel. Ta jedna myśl wirowała jej w głowie. Trwało dobrą chwilę, nim spostrzegła, że Cathy przygląda jej się dziwnie i współczująco.

– Nazywa się Alec McGowan – wyjaśniła prędko dziewczyna. – Jest weterynarzem... Szkotem. Nie poznałaś go.

– Alec McGowan...? – powtórzyła Rosalie nieprzytomnie. – Moje gratulacje, Cathy...

A więc to nie Daniel. Dzięki Bogu, nie Daniel! Cathy musiała przejrzeć jej sekret, ale na szczęście powstrzymała się od komentarza i taktownie zaczęła rozprawiać o swoim życiu osobistym:

– Znamy się od lat, ale bardzo długo nie domyślał się, że mi na nim zależy. –

Roześmiała się figlarnie. – Traktował mnie jak serdeczną przyjaciółkę, aż w końcu musiałam załatwić sobie tę praktykę w Llandovery i niemal siedzieć mu na głowie.

– On mieszka w tamtej okolicy?

– Tak, w Llandilo. Jeden z waszych pacjentów stamtąd pochodził. Z Towy Valley.

– Ależ pan Powys! Oczywiście! – Walijczyk był już po transplantacji, ale ciągle przebywał w izolatce na intensywnej terapii.

– Alec tam praktykuje i chce pozostać na stałe, a ja z nim. Jestem zachwycona! Obawiam się, że kardiologia mnie straciła. Boję się powiedzieć o tym ojcu.

– Kardiologia zawsze była bez szans, prawda?

– zażartowała Rosalie.

– Daniel Canaday również – uśmiechnęła się Cathy. – Choć wiem, że ojciec będzie głęboko rozczarowany. Chciał mieć córkę i zięcia specjalistów.

– Mówiąc to, przezornie nie patrzyła na Rosalie.

– Myślę, że ojciec się jakoś pogodzi – wykrztusiła Rosalie.

– Staralam się przygotować go na ten cios – ciągnęła Cathy – ale nie wiem, czy mi się udało. Nie odważyłam się wyraźnie wspomnieć o Alecu, na wszelki wypadek, gdyby nic z tego miało nie wyjść. Och, jakże jestem szczęśliwa, że wszystko się udało!

– Cieszę się również – powiedziała Rosalie z głębi serca. – Gdy wymawiasz jego imię, po prostu wyglądasz promiennie!

– Naprawdę? – Cathy znów się zarumieniła. – No, muszę już lecieć. Nie będę czekać na tatę... – urwała, bo na korytarzu zaczęło robić się tłoczno i hałaśliwie.

Dochodziła druga, pora popołudniowych wizyt, i co pewien czas Rosalie musiała udzielać informacji i wskazówek. Właśnie jakiś blondyn z wydatnym brzuchem przepychał się do jej biurka. W ręku trzymał tackę z na wpół zjedzonymi frytkami.

– Gdzie leży mój ojciec? – spytał. – Kevin Mellish... Och, czy mogę to tu wyrzucić?

Rosalie poczuła zapach tłustych frytek polanych aromatycznym keczupem i znów zebrało jej się na mdłości.

– Powiedz mu, że tu byłam i czekam na niego w domu – wtrąciła szybko Cathy, nieświadoma, co dzieje się z Rosalie.

– Dobrze – przytaknęła Rosalie i modliła się w duchu, by córka chirurga zdążyła wyjść, nim nastąpi katastrofa.

Gość z wystającym brzuchem zniknął z pola widzenia, Cathy wreszcie wyszła i

Rosalie zapadła się w krzesło, oddychając głęboko, by wrócić do równowagi. Uff, nudności minęły po kilku minutach.

Co mi jest? – zastanawiała się gorączkowo. W głowie roilo jej się pół tuzina przeróżnych tragicznych możliwości i zaczynała powoli wpadać w panikę. Ciągłe zmęczenie, mdłości, uczucie odrętwienia, wrażliwość na smaki i zapachy, które dotychczas jej nie przeszkadzały...

I nagle, gdy przypomniała sobie wystający brzuch syna Kevina Mellisha, doznała olśnienia. Jestem w ciąży! – niemal zawołała w głos. To niemożliwe, a jednak musi być prawdą! Szybko zerknęła do kalendarzyka, przeliczyła daty, dni... i nabrała całkowitej pewności.

Następna, ostatnia już godzina pracy minęła jak we śnie. Wykonywała czynności machinalnie, zaprzątnięta jedną piorunującą myślą. Stał się cud, w który wprost nie mogła uwierzyć. Dawno, bardzo dawno pogrzebała przecież wszelkie nadzieje na macierzyństwo.

Mała Jackie Billings podbiegła w podskokach do jej biurka, aby uciąć sobie pogawędkę. Z nowym, mocno bijącym sercem, chronionym lekami immunosupresyjnymi, wyglądała zupełnie inaczej. Z jej twarzy znikła szarość i zmęczenie, a niebieskie oczy błyszczały radością i dziecięcym entuzjazmem. Biopsja serca, którą wykonano w ubiegłym tygodniu, nie wykazała żadnych oznak odrzucenia przeszczepu, tak że za kilka dni mała pacjentka miała zostać wypisana do domu.

Rosalie cierpliwie wysłuchiwała opowiadania dziewczynki o jej psotnych braciszkach i nawet usiłowała swobodnie żartować, ale z ulgą przyjęła pojawienie się pani Rogerson.

Jeszcze tylko pół godziny i będzie mogła spokojnie wszystko przemyśleć. Tymczasem odpowiadała na pytania odwiedzających, udzielała wskazówek nowej praktykantce – wszystko czyniła z rutynową wprawą. Jak we mgle przekazała Howardowi wiadomość od Cathy i odbyła z nim krótką pogawędkę, z której potem niewiele pamiętała. W stosownym czasie przekazała oddział następnej zmianie i wreszcie mogła wyjść.

W powrotnej drodze do domu postanowiła wstąpić do apteki po test ciążowy. Ale nie zatrzymała się przy aptece Lathama, gdzie była stałą klientką. Wstąpiła do innej, nie znanej sobie apteki, ale nawet tam czuła się dziwnie nieswojo, dokonując tego niecodziennego zakupu.

W domu czym prędzej wykonała test i już po piętnastu minutach otrzymała wynik. Był, tak jak się spodziewała, pozytywny.

I dopiero wówczas nastąpiło odprężenie. Rozpierało ją szczęście, bezgraniczne

szczęście. Tajony przez wszystkie te lata smutek i żal ulotniły się w jednej chwili i nie mogła myśleć o niczym innym, jak o delikatnym, miękkim ciałku, pulchnych dziecięcych rączkach chlapiących wodę w wanience, szczebiotliwym śmiechu i czułym pochylaniu się nad łóżeczkiem w nocy, by ukoić płacz małej istoty.

Przerwanie ciąży czy też oddanie dziecka do adopcji nawet nie przyszło jej do głowy. Było przecież dużo samotnych matek. Doskonale da sobie radę i nigdy nie będzie się wstydzić.

Dopiero wówczas pomyślała o Danielu. Było to jak smagniecie batem i na krótką chwilę cała radość z niej wyparowała.

Będzie musiała mu powiedzieć. On ma prawo wiedzieć. Ma prawo uznać dziecko i widywać je, jeśli zechce.

Jeśli zechce... Tu leżał problem. Niewykluczone, że wcale nie będzie mieć na to ochoty, zwłaszcza że skazywałyby się wówczas na długoletnie kontakty z samą Rosalie. Przez chwilę zawahała się. Może lepiej nic nie mówić? Nie, jednak musi to zrobić, i to jak najprędzej. Najlepiej zaraz.

Chciała mieć to już za sobą, załatwić sprawę szybko, tak szybko, jak to tylko możliwe, dać mu szansę na podjęcie decyzji. Musi przez to przejść, odbyć tę ciężką rozmowę – tym cięższą, że kochała tego mężczyznę, kochała teraz nawet bardziej niż dotąd.

Przetrząsała nerwowo szafę w poszukiwaniu odpowiedniej garderoby i wreszcie zdecydowała się na suknię, którą miała na sobie kilka miesięcy temu w teatrze. Suknia przywoływała tak miłe wspomnienia... Może była zbyt strojna na tę okazję, ale Rosalie pragnęła wyglądać wyjątkowo atrakcyjnie w tych niecodziennych okolicznościach.

Powinnam do niego najpierw zadzwonić, pomyślała i wykręciła znany na pamięć numer. Już po jednym sygnale usłyszała głos Daniela i nagle okazało się, że nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa. Z bijącym sercem odłożyła słuchawkę. Po prostu do niego pojedę – zdecydowała.

Niewzłocznie wsiadła do samochodu. Była tak roztargniona, że po drodze dwukrotnie zatrzymywała się, by spojrzeć na mapę.

Gdy przycisnęła dzwonek, Daniel otworzył drzwi niemal natychmiast. Zmarszczył brwi na widok jej purpurowej sukni, a potem nonszalanckim gestem zaprosił ją do środka. Właśnie parzył kawę. Rosalie pomyślała, że musiał dopiero co wrócić ze szpitala, gdy zadzwoniła kilka minut temu.

– Usiądź – powiedział, wskazując obite skórą krzesło przy kuchennym stole. – A to ci niespodzianka! – Minę miał, jak jej się zdawało, nietęgą.

Skrzyżowała nerwowo ramiona, jakby w obronnym geście, a w duchu żałowała, że nie założyła wytartych spodni i starej bluzki. Dlaczego zawsze w jego obecności tak bardzo uświadamiała sobie własną kobiecość?

– Napijesz się kawy? – Przysunął w jej stronę parujący dzbanek.

Planowała zagać jakoś wesoło, ale teraz sytuacja ją przerosła i beznamiętna pogawędka okazała się niemożliwa. W dodatku zapach kawy, który zawsze tak lubiła, przyprawił ją o mdłości i musiała walczyć, by je opanować. I słowa jakby same popłynęły jej z ust:

– Jestem w ciąży.

Nie udawał zażenowania. Po krótkiej pauzie powiedział po prostu:

– Myślałem, że stosujesz środki antykoncepcyjne. Nie powinienem był tego zakładać. Przepraszam.

– Środki antykoncepcyjne? – Roześmiała się, a potem łzy zawisły jej na rzęsach i gwałtownie wstała.

– Och, gdybyś tylko wiedział! Myślałam, że nie mogę mieć dzieci. Próbowaliśmy z Mikiem przez cztery lata. A teraz... teraz jestem taka szczęśliwa! – Głos jej się załamał, oczy oślepiły łzy. Nagle poczuła, że Daniel ją obejmuje. Poczowała ciepło jego ciała przez cienki materiał sukni.

– Szczęśliwa? – wyszeptał. – Rosalie, czy zdajesz sobie sprawę, co mówisz?

– Tak. – Odzyskała równowagę i odsunęła się od niego. Teraz nie była pora na płacz i roztkliwianie się. Nie była też pora na poddawanie się jego pieszczotom. – Mam zamiar urodzić dziecko – powiedziała stanowczo, unosząc podbródek. – Ale o nic się nie martw. Nie będę cię o nic prosić. Wszystko zależy od ciebie. Chciałam ci powiedzieć jak najszybciej, żebyś miał czas na podjęcie decyzji. Oczywiście nie musisz uznawać dziecka, ale jeśli zechcesz, dokonamy jakichś praktycznych ustaleń co do odwiedzin... – Spojrzała do góry i zmusiła się, aby popatrzeć mu w oczy.

Daniel cofnął się o krok, zmrużył oczy i stał jak skamieniały.

– A więc mówisz mi o tym wyłącznie dlatego, że... jakby tu rzec... mam biologiczne prawo do dziecka?

– spytał z nie ukrywaną wściekłością. – Czy tak?

– Chyba można to tak określić.

– I łaskawie pozwolisz mi widywać dziecko, jeśli zechcę – przerwał jej gwałtownie. – Zupełnie jakbyśmy dostali spadek do podziału! Czy naprawdę tak to sobie wyobrażasz? Weekend dla ciebie i weekend dla mnie, a jeśli dobrze się zorganizujemy, będziemy mogli na przemian odbierać dziecko z przedszkola, jak

klucz spod wycieraczki, bez potrzeby widywania się. A nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że dziecko mogłoby nas połączyć? Że powinniśmy wychowywać je razem? Że moglibyśmy się pobrać... ?

– Pobrać?

– Do licha, tak! Ludzie od czasu do czasu się pobierają.

Rosalie stała oszołomiona na środku pokoju. I nagle bez zastanowienia rzuciła mu prosto w twarz:

– Wyszłabym, och, wysłabym za ciebie nawet jutro, jeśli byś mnie kochał. Ale jeśli chodzi ci tylko o dziecko...

– Jeśli bym cię kochał? – Przemierzył dzielącą ich przestrzeń i chwycił jej nadgarstki w bolesnym uścisku, a potem przesunął namiętnie dłońmi po jej ramionach. – Jeśli bym cię kochał? – powtórzył. – Oczywiście, że cię kocham, do diabła! Czyż nie dlatego walczyliśmy i cierpieliśmy podczas tych okropnych miesięcy, że ja cię kochałem, a ty nie potrafiłaś przyjąć tej miłości? Wzbranasz się, uciekasz, nie wierzysz w nią... Nie wiem, o co chodzi, wiem tylko, że przeżyliśmy koszmar, bolesny koszmar, a teraz ty mówisz mi „jeśli mnie kochasz”, jakby to było brakujące ogniwo.

– A więc masz na myśli... – zająknęła się, zaskoczona jego gniewem i jego słowami. – A więc, chcesz powiedzieć, że mnie naprawdę kochasz? I chcesz się ze mną ożenić, ponieważ mnie kochasz? – dopytywała się z niedowierzaniem, jak dociekliwe dziecko.

I nagle znalazła się w jego objęciach.

– Ależ tak, Rosalie! – szeptał. – Nie mów, że masz wątpliwości! Nie mów, że o tym nie wiedziałaś.

– Nigdy mi tego nie powiedziałaś. Myślałam...

– Czyż ci tego nie okazywałem? Okazywałem na setki sposobów. Chciałem być z tobą wszędzie, zawsze. Nie mogłem oderwać od ciebie oczu, ani rąk...

– To nie była miłość, tylko pożądanie. Tego się obawiałam. Myślałam, że chodzi ci o romans. Myślałam, że mężczyzna trzydziestodwuletni... Och, nie sądziłam, że będę mogła dać ci dziecko, nawet jeśli ten romans przerodziłby się w coś głębszego – mamrotała nieskładnie. – Och, dlaczego nigdy tego nie powiedziałaś?

– Nie było odpowiedniej chwili – odparł bezradnie.

– Nie chciałem robić takich wyznań w łóżku. Chciałem powiedzieć ci to spokojnie, w świetle dnia, ale wtedy czułem zawsze twój opór i rezerwę. Do licha, nie mogę po prostu uwierzyć, że czekałaś, aby to usłyszeć. Myślałem, że jeśli spędzimy więcej czasu razem, w łóżku i poza nim, będziemy to instynktownie

wiedzieli, bez słów, zanim te słowa przyjdą.

Muskał wargami jej szyję, a potem chwycił jej usta w pocałunku, który był czuły i namiętny zarazem, i bardzo, bardzo długi.

– Dlaczego sądziłaś, że pragnę wyłącznie romansu?

– zapytał, odrywając się od niej. – Z powodu tak śmiesznej rzeczy jak różnica wieku? Rosalie, wbij sobie do głowy, że dla mnie jesteś i zawsze będziesz zadziwiająco piękna. Tak piękna jak żadna inna kobieta. I zawsze będziesz niebywale młoda z tym swoim uśmiechem, takim radosnym i dziewczęcym... i twoja miłość do kwiatów, poczucie piękna – to jest wiecznie, nieprzemijająco młode... Proszę więc, zapomnij raz na zawsze, że jestem rzekomo młodszy od ciebie, zgoda?

– Dobrze, Danielu – odpowiedziała potulnie, przyciśnięta do jego piersi. Dał jej przed eh wiała to wszystko, o czym mówił: świeżość, odrodzenie, poczucie nowego życia.

– I zapamiętaj, że kocham cię całym sercem i chcę się z tobą ożenić, być razem i wychowywać nasze dziecko i... wycisnąć z życia całe jego bogactwo i piękno, Rosalie – zakończył poważnie i bardziej uroczyście niż kiedykolwiek, głaszcząc opuszkami palców jej policzek. – A teraz może napijemy się kawy, zanim przejdziemy do szczegółów?

– Nie, kawa przyprawia mnie o mdłości.

Roześmiał się szczerym, beztroskim śmiechem, odrzucając głowę do tyłu. Był przy tym tak naturalny i swobodny, że nagle przyszły jej na myśl słowa, które kiedyś wypowiedział.

– Danielu – szepnęła, przytulając się znów do niego – powiedziałaś kiedyś, że w pewnych sprawach nie dbasz zbyt o dobry ton i konwenanse. Może dlatego właśnie sądziłam, że nie należysz do mężczyzn, którzy się żenią.

– Małżeństwo, o jakim myślę, rzeczywiście nie przypomina dobrze nam znanej, szacownej instytucji.

– A jak je sobie wyobrażasz?

– Na początek proponuję ucieczkę z ukochanym.

– Ucieczkę?

– Naprawdę chcesz stać w welonie, otoczona wianuszkami krewnych, których nie widziałaś od dwudziestu lat?

– Nie, ale...

– I tak będą plotki, że pobraliśmy się z powodu dziecka. Pal je licho! Pobierzmy się w przyszłym tygodniu i ucieknijmy do Paryża... albo Hiszpanii?

– Do Hiszpanii?

– A może do Turcji?

– Paryż i Turcja – roześmiała się. – Po miłość i przygodę!

– Wiesz co? Nie mam już ochoty na kawę. Wolałbym usiąść gdzieś wygodniej. Co powiesz na moje łóżko?

W jakiś czas później wyznała:

– Myślałam, że zakochałeś się w Cathy Trevalley.

– W Cathy?

– To przecież urocza dziewczyna.

– Owszem. I życzę jej dużo szczęścia z tym weterynarzem.

– A więc wiesz?

– Zaprosiła mnie na lunch specjalnie po to, aby mi o tym powiedzieć. Właściwie domyślałem się wcześniej. Kiedy była u nas w szpitalu, poszliśmy na kolację. Poinformowała mnie bez ogródek o zamiarach swego ojca w stosunku do nas i przyznała otwarcie, że nic z tego nie wyjdzie. Domyśliłem się, że jest w kimś zakochana, choć udawała, że nie. Spytała mnie o ciebie i Howarda... Czy sądzę, iż to coś poważnego. Odparłem, że nie wiem, że twoje sprawy osobiste mnie nie obchodzą. Chyba mi nie uwierzyła, widocznie nie jestem urodzonym kłamcą.

Śmiali się i całowali. W końcu Rosalie spytała:

– Nie będziesz mieć nic przeciwko temu, jeśli będziemy mieć tylko jedno dziecko?

– Co będzie, to będzie. Ale właściwie dlaczego mielibyśmy poprzestać na jednym?

– To cud, że w ogóle zaszłam w ciążę. Z Mikiem próbowaliśmy tak długo...

– Robiliście jakieś badania?

– On umarł, zanim się zdecydowałam. Ale właściwie uważaliśmy z mężem, że to nie ma sensu, skoro jestem bezpłodna.

– Ale dlaczego ty? Być może to Mikę. Teraz masz dowody, nieprawdaż? Widać my dwoje jesteśmy płodni jak króliki. Jeśli nie zaczniemy uważać, dorobimy się dziesięciorga.

– No wiesz – roześmiała się. – Ale jak sądzisz, czy pomieścimy się tu z dzieckiem?

– Tutaj? O, nie! Tu nie zamieszkamy.

– A więc w moim domku.

– Kochana Rosalie...

– Słucham.

– Co powiesz o nowym domu, którego razem poszukamy?

Wyobraziła sobie te słodkie chwile, które spędzą na poszukiwaniu nowego domu. Miał rację: zaczynali wszystko od początku, bez obaw, bez wspomnień przeszłości. Nowe życie... razem. I gdy padli sobie w objęcia, zrozumiała, że nowe życie już się zaczęło.